



ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład:
30.000
Redakcja:
Daszyńskiego 16
Administracja:
Daszyńskiego 14

Rok V

Warszawa, dnia 14 marca 1948 r.

Nr 11 (172)

K. I. GALCZYŃSKI

SYLWESTER MAROSZ

pamięci Edwarda Szymańskiego

Sylwester miał siostrę i skośne oczy,
Sylwester miał oczy niebieskie,
a kiedy się czołg ze swastyką przez Smoleńsk przetoczył,
zburzył Sylwestrowi czołg siostrę razem ze Smoleńskiem,

ee tam miasta, ee tam siostry,
nasza siostra jest po prostu idea —
i dlatego nasze nowe siostry rosną jak wiosny
i dlatego nasze miasta się odbudowują i śmieją,

a idea to, widzicie, głowa i ręka,
i cynk i tedeum dzwonów,
panie Krupczalowski, niech pan się niczego nie lęka
nas jest dzisiaj 300 milionów,

przepraszam, skłamałem, bo o jednego mniej,
bo brak Sylwestra, czyli minus o jedną osobę,
**bo Sylwester, Rosjanin, zginął jako Polak za Warszawę.
Za Warszawę. Jako Polak. Za Europę.**

Jak bombę, proszę państwa, podłożył go wywiad
na zajętych przez Hitlera terenach.
Ciężkie miesiące. Ale sercu lekko,
kiedy serce wie po co żyć i za co umierać.

Z krótkofalówką niełatwa sprawa,
skomplikowana,
ano z trudem do Stoczka, ano do Połski, a w Polsce
w mig zakochana Helena.
Krótkofalówkę w chleb, co proszę?
no w chleb i w pociąg. Rusza.
Helena patrzy i napatrzeć się nie może.
Bo piękny był bolszewik, cholera, jak róża.

Ze Stoczka do Warszawy pociąg kroczy,
Sylwester duma.
Bo nie wie, czy patrzeć, jak Helena, Helenie w oczy,
czy w chleb, gdzie jest ta krótkofalówka,

wreszcie Warszawa. Doszłanija, Liena.
Deszcz. Oczy Heleny i jezdnie mokre.
Do wzięcia, gołąbko. Ja, widzisz, metafizyczny analfabeta,
ja znam tylko jedno słowo: konkret.

Z trudem znalazł Sylwester mieszkanie, ale na Pradze,
ale nędzne, uch! jaka bieda,
ho robotnik, u którego zamieszkał Marosz,
nędznie zarabiał, jak dziś niejeden francuski poeta.
Ale za to potem, po nowej przeprowadzce, na Bielanach było niebo bogate,
bo pierwszorzędnie umeblowane gwiazdami.
Pracuje krótkofalówka. Piękny jest światek
i piękna druga Polka, Krystyna.
No i wysypa, i rozwalają Krystynkę bydłeta,
z całą rodziną (gdzie teraz leżą, nikt nie wie)
Potem mąż Marii zginął, ale Maria na Pawiaku urodziła za to bliźnięta
jak dwie nowe gwiazdy, jak Kastor i Polluks na nowym polskim socjalistycznym niebie.

Co z Sylwestrem? Ano nic. Raz się odnalazł w tramwaju nieoczekiwanie,
gdy Helena w tramwaj wsiadała, do domu,
ścisk był i pisk i wrywali się w tramwaj warszawianie
jak chaotyczny polonez bufonów.

Pogadali w tramwaju. Sylwester pytał o Mikusia, czy zawsze wesół jak ptaszek.
Helena: — O, tu na fotografii mam go.
Podobny do Henryka i tak jak dawniej lubi przed snem wychodzić na balkon,
ho mówi: — Mamo, ja tylko jeszcze nockę zobaczę.

(Mikuś zobaczył śmierć)

I to była ostatnia rozmowa z Sylwestrem,
ileż to temu lat!
Ostatnia, rozumiecie, i potem po Sylwestrze

zupełnie zaginał ślad.
Aż tu nagle, pewnego dnia
afisz z teatru śmierci: Aha:

OBWIESZCZENIE

. napadnięto tchórzliwie
. polscy bandyci
. śledztwo wykazało niezbicie
. organizacji tajnej.
za powyższe kazałem spośród osób, które były
skazane przez sąd doraźny policji bezpieczeń-
stwa, a były przewidziane tymczasem do ułaska-
wienia w dn. 11. XII. 1943, oraz w dn. 14. XII. 1943
publicznie roz-
strzelać
następuje lista 170-u nazwisk,
wśród których:

SYLWESTER MAROSZ

Podpisał: DOWÓDCA SS I POLICJI
NA DYSTRYKT WARSZAWSKI

Warszawa, 15. XII. 1943

Afisz wisiał na ulicy Belgijskiej,
w grudniu, roku 43-im, z wieczora.
Grudzień. Chodniki były śliskie
jak życie konspiratora.

O, przyjaciele moi z Warszawy, Moskwy i Pragi,
Sylwester Marosz uczył nas zimnej kalkulacji i gorącej odwagi,
a że zginął, cóż — życie. Lecz nie ma na ideję śmierci.
O Sylwestrze Maroszu jeszcze kiedyś inną piosnkę zanucę.
Bo Sylwester jak Wergiliusz uczył nas pisanja wierszy,
bo celnie strzelał, ostrzeliwując się przy krótkofalówce.

*Dziś, słuchając Bacha z dobrych płyt, patrząc na żywego psa i zielony arras
bijąc kawę, myślę o nim:*

Zapiszcie sobie dobrze te słowa zaraz:
Sylwester Marosz. Pseudonim.

To nic, Muzy, Muzy wolne; ury się w śmiechu zanoście i w śpiewie;
ta trumna jest kwiatem; z takich kwiatów jest oddech swobodny tej ziemi;
to kobiety raczej niech oplakują skośnookiego Scytę: Krystyna w niebie,
a Maria i Helena na ziemi.

*No, niech pani mi poda kawę
i psze dalej. Dwukropek:*

**Sylwester, Rosjanin, zginął jako Polak za Warszawę.
Za Warszawę. Jako Polak. Za Europę.**

I teraz deszcz wolności jak psy chleptać
chcemy, mój panie Krupczalowski pochmurny.
Rozprostuj plecy. Przestań szeptać.
Zrozum, że jesteś wolny.

K. I. Galczyński

STANISŁAW GRABSKI

Na przełomie wieków

Fragment pamiętników

Otrzymałem „odwołalne pozwolenie na pobyt w Galicji pod warunkiem „wszechstronnie legalnego zachowania się”. Za udział w tamtejszym ruchu socjalistycznym — mogłoby to pozwolenie być odwołane. Do angażowania się zaś czy to w konserwatywnej czy demokratycznej polityce galicyjskiej nie mnie nie pociągało. Więc postanowiłem trzymać się z dala od wszelkiej galicyjskiej polityki. Chętnie się jej jednak przyglądałem. Ciekawił mnie szczególnie tak zwany „neokonserwatyzm”. Inicjatorami jego byli ludzie równego mniej więcej mnie wieku, pracujący poważnie naukowo lub literacko i wyraźnie sympatyzujący z niemieckim ruchem „reformy społecznej”: Leopold Jaworski, Adam Krzyżanowski, Piotr Górski, Antoni Górski, Hupka, Rudolf Starzewski. Urządzali oni periodycz-

nową jego produkcję. Było to jednak zapotrzebowanie na masło deserowe, a tymczasem zarówno galicyjskie folwarki jak i gospodarstwa chłopskie produkowały tylko ręcznie w kierzach robione masło o bardzo rozmaitej jakości, które szło na sprzedaż mocno solone. Skupywali je po wsiach i miasteczkach żydowskie karczmarze i handlarze, którzy dostarczali go kilku dużym eksporterom zaopatrującym Niemcy w tańsze od miejscowego, ale też pośledniejszego gatunku „masło kuchenne”. Toteż otrzymywana za nie przez galicyjskich rolników cena była bardzo niska. Przy tym na kilo masła robionego w kierzce szło o kilka litrów mleka więcej niż przy produkcji maszynowej. Ze strony zarówno Towarzystwa Rolniczego jak i Wydziału Krajowego¹⁾ we Lwowie szły zachęty do zakładania mleczarni maszynowych. Nasamprzód wzięli się do tego prywatni przedsiębiorcy, ale wkrótce istniejący przy Wydziale Krajowym a kierowany przez Stefczyka patronat kredytowych spółek reifensteińskich przystąpił do organizowania po wsiach spółdzielczych mechanicznych mleczarni. W najbliższej okolicy Krakowa korzystniej było dostarczać do miasta świeże mleko niż przerabiać je na najlepsze choćby deserowe masło. Toteż ze wszystkich wsi leżących w promieniu do 15 km. szły niemal codziennie do Krakowa gospodzie z bankami mleka, a przy tym koszykiem jaj, paru kurczakami, a na wczesną wiosnę z „nowaliami”, młodą rzodkiewką, sałatą. Niekoniecznie każda szła sama ze swoimi produktami do miasta. Sąsiadki się z sobą umawiały. Dziś ta, jutro tamta niosła do Krakowa mleko, jaja, warzywa paru gospodyń. Pomimo to dla sprzedaży kilku, a co najwyżej kilkunastu litrów mleka większość podmiejskich gospodyń traciła parę razy na tydzień po pół dnia czasu.

Pamiętając o wzorach szwajcarskich, próbowałem założyć we wsi Tonie spółkę dla wspólnej sprzedaży świeżego mleka w Krakowie. Mieszkał tam poeta Rydel, ożeniony z młodszą siostrą Włodzimierzowej Tetmajerowej. Faktycznym tłem „Wesela” Wyspiańskiego było właśnie wesele Rydla w Bronowicach w domu Tetmajera.

Rydel zaprosił do siebie kilkunastu sąsiadów. Przedstawiłem im plan spółki mleczarskiej. Zyskał on ich aprobatę. Umówiliśmy się, że za

„Przewodnika Kółek Rolniczych” o należytej uprawie roli, nawozach sztucznych, nowych odmianach żyta, pszenicy, ziemniaków, o tepieniu chwastów... Ale na to musiał istnieć w kółku jakiś inteligentny przodownik. Niestety, niewiele jeszcze było nadających się do tej roli włościan. W Krakowskim nie było ani jednego. Nie bardzo się też do tej pracy kwapili nauczyciele ludowi i księża. Toteż w całym krakowskim powiecie ledwo parę kółek rolniczych żyło naprawdę. Ogromna większość zgoliła się nie zbierała, tak że miejscowa ludność nazywała kółkiem rolniczym sklepik chrześcijański, założony przy pomocy zarządu powiatowego Towarzystwa Kółek Rolniczych. Sklepik taki, formalnie będący zbiorową własnością kółka — najczęściej stawał się wkrótce po jego założeniu indywidualną własnością jego kierownika, który przed nikim nie składał rachunków i z nikim się nie dzielił zyskami. Na posiedzeniu zarządu powiatowego, do którego zostałem zakooptowany, zaproponowałem lustrację kółek przez członków zarządu. Nikt jednak poza mną nie podjął się tej roboty. Co gorsza, zarząd nie posiadał funduszu potrzebnego na wyjazd furmanek dla objazdu powiatu. Wobec tego wynajmowałem w Dąbiu, 3 kilometry za rogatką grzegorzeczką, pozostały po sparcelowanym folwarku drewniany dworek, zbudowany, jak wskazywał napis na belce stropu w jadalnej izbie, w 1772 r., z paromorgowym sadem i sportymi zabudowaniami gospodarskimi. Ale umieszczałem w nich tylko jednego konia, dość starego, którego tanio kupiłem, ale jeszcze mocnego i o dobrych chodach. Kupiłem też brzyczuszkę, tak zwany „wózek węgierski”, o jednym szerokim pośrodku siedzeniu, jednak bez resorów. Na brzyczkę z resorami stać mnie nie było. Dochody moje ówczesne ledwo starczyły na utrzymanie żony i trojga już dzieci. Tym zaprzęgiem objechałem wszystkie kółka powiatu krakowskiego, a w sprawie spółek mleczarskich odwiedzałem niekiedy i sąsiednie powiaty. Były dnie, że moja stara szkapka robiła po 60 kilometrów. Oczywiście sam sobie powoziłem: sam ją oprzątałem. Stan wiedzy rolniczej i w ogóle oświaty był 45 lat temu we wsiach galicyjskich przeraźliwie niski. Gdybym zalecał kupowanie nasienia konieczny tylko bezwzględnie czysty, a więc w firmie dającej pełną gwarancję, że w nasieniu tym nie będzie kaniarki²⁾, najlepiej w składnicy powiatowej

striackich ekonomia polityczna wchodziła w zakres jedynie prawniczych nauk. Wobec tego otrzymałem docenturę „filozofii i metodologii nauk społecznych” na wydziale filozoficznym. Habilitacja moja została przeprowadzona bardzo szybko, już w parę miesięcy po moim osiedleniu się w Krakowie. Ale docentura obcego poddanego musiała uzyskać zatwierdzenie kancelarii cesarskiej. A namiestnik hr. Piniński, który ulegając jedynie instancjom Sienkiewiczza udzielił mi był pozwolenia

stości robotnikami folwarcznymi, wynagradzanymi prawem użytkownika określonych kawałków roli. Przywiązanie ich zaś do ziemi uniemożliwiało im jakąkolwiek poprawę bytu. Dlatego też ocenilem bardzo dodatnio dokonane przez konstytucję Księstwa Warszawskiego zniesienie poddaństwa, wbrew panującej powszechnie w dotychczasowej naszej literaturze opinii, iż nadanie włościanom wolności osobistej bez równoczesnego ich uwłaszczenia, pogorszyło tylko ich sytuację.

chci socjalistycznego od rosyjskich prądów rewolucyjnych. Ale równocześnie chciał on jak najsilniej zrehabilitować lud polski. Do tego miały prowadzić: po pierwsze — masowe demonstracje, po drugie — zbrojne działanie tworzonej w tym celu specjalnej bojowej organizacji, na pół wojskowej.

Dmowski obawiał się, że gdy zacznie się w Królestwie walka rewolucyjna podobnymi, jak to się działo w Rosji, metodami — w masach ludowych zacząć brać górę dążenia klasowe nad narodowymi. Obawy Dmowskiego wkrótce sprawdziły się. Pierwszą rewolucyjną demonstracją na placu Grzybowskim w listopadzie 1904 r. kierowała istotnie bojowa organizacja podlegająca komendzie Piłsudskiego. Ale już w początkach 1905 r. większość zarządu PPS zaczęła przystosowywać działalność stronnictwa do ruchu rewolucyjnego w Rosji, przejmującego się w Petersburgu przede wszystkim w zastających wielkich strajkach robotniczych. A jest to aż nadto zrozumiałe, że strajki inicjowane jako polityczne — stają się jednak szybko przede wszystkim gospodarczymi. Już w lutym 1905 zjazd PPS uchwalił prowadzenie walki ręką w rękę z Rosjanami o zwolnienie konstytucyjnych zgromadzeń w Petersburgu i w Warszawie, „które wypowiedziały się co do dalszego stosunku zaboru rosyjskiego do reszty państwa cara”. Postulat niepodległości Polski został uznany za „nie na czasie” — zastąpiono go koncepcją federacyjnego ustroju Rosji. Ale wtedy zanikał bodaj zupełnie różnica ideowa PPS i Socjalnej Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy.

Tym silniej natomiast zaostrzał się antagonizm między obu tymi socjalistycznymi stronnictwami a Ligą Narodową i kierowaną przez nią Narodową Demokracją.

Piłsudski po wystąpieniu z zarządu stronnictwa tym gorliwiej zajął się swoją bojową organizacją, którą nazwał „Frakcją Rewolucyjną PPS”. Wszedł on też w stosunki z ambasadą japońską w Londynie i pojechał by nawet do Japonii z projektem organizowania tam „polskiego legionu”. Rząd japoński projektu tego jednak nie przyjął, nie chcąc komplikować sobie przyszłych rokowań pokojowych sprawą polską. Udał się też do Japonii i Dmowski. Wrócił on z mocnym przeświadczeniem, że dla Japonii mogą być pożądane zamieszki w Królestwie, utrudniające Rosji wysyłkę nowych sił zbrojnych na teatr wojny — w żadnym razie jednak nie poprzez ona przy rokowaniach pokojowych, ponieważ...

wiek polskich dążeń narodowych. I z drugim jeszcze wrócił on z tej podróży pewnikiem, że gdyby ruch rewolucyjny w Królestwie przybrał niebezpieczne naprawę dla Rosji rozmiary, Rzesza Niemiecka da jej wszelką potrzebną dla stumienia pomoc. W tych warunkach zrehabilitowanie ludu w Królestwie nie da żadnych korzyści dla sprawy polskiej, natomiast zaoigni wewnętrzne społeczne przeciwieństwa i osłabi siłę dążeń narodowych.

Latem 1904 r. przyjechał do Krakowa brat żony Władysław Rozeń³⁾, porucznik artylerii rosyjskiej, zmuszony do emigracji poza granice cesarstwa z powodu swej rewolucyjnej w wojsku działalności. Stał się on następnie jednym z najczynniejszych działaczy Frakcji Rewolucyjnej. Zajmował się on specjalnie transportami broni dostarczanej przez Japończyków dla bojówek Piłsudskiego. Przyjeżdżał do mnie, do dworku mego w Dąbiu, kilkakrotnie z Piłsudskim, by w posiadanym tam przeze mnie sadzie wypróbować różne modele rewolwerów i pistoletów automatycznych. Tej „technicznej przysługi” nie mogłem Piłsudskiemu odmówić. Rozmowy jednak, jakie przy tym mieliśmy, coraz bardziej mnie od niego oddalały.

Kiedyś, wyprowadzony z równowagi złudzeniami Piłsudskiego, takoby akcją kilkuset czy choćby paru tysięcy bojowców uzbrojonych w rewolwery można było wymieść na rządzie rosyjskim jakiegokolwiek ustępstwa na rzecz Polski, zawołałem: „Majaczy się wam dyktatura rewolucyjna nad narodem — a gładcie głupstwa, których by się powstydzili pierwszy lepszy koncept galicyjskiego starostwa”. W tej chwili żona moja zawołała nas na kolację. Mam po dziś dzień w oczach duże szerokie okno wychodzące na Wisłę i na tle jego siedzącego obok mojej żony zachmurzonego, wyraźnie złego Piłsudskiego. Po jakimś kwadransie twarz jego poprawiła się i rozpoznałem. Zwracając się do mnie powiedział: „Przeszedłem w pamięci wszystko, co mi jedna Cyganka powiedziała. I to wszystko się spełniło. Sprawdził się też, że będą dyktatorem”.

Była to ostatnia moja z nim rozmowa w Krakowie. Bo wkrótce potem przeniosłem się do Lwowa, by objąć w Wydziale Krajowym stanowisko referenta spraw agrarnych, a jednocześnie katedrę ekonomii politycznej w Akademii Rolniczej w Dublanach, odległych o 7 km od Lwowa. A w czasie mego pobytu we Lwowie drogi nasze coraz bardziej się rozchodziły. Nie zdarzyło mi się tam z nim spotkać. Następną rozmowę z Piłsudskim miałem dopiero w 1918 roku w Belwedrze, jako z Naczelnikiem Państwa. Przepowiednia ziściła się do końca.

Stanisław Grabski

³⁾ Po zamachu majowym generał.



rys. K. Sichulski

Wł. L. Jaworski entuzjasta Zielonego Balonika

ne wieczory dyskusyjne, przeważnie o zagadnieniach społeczno-politycznych. Brało w nich udział po kilkadziesiąt osób. Przychodzili na nie niekiedy i starzy matadorzy konserwatyzmu krakowskiego, ale raczej w roli obserwatorów, i przystuchiwali się temu, co mówili młodzi, sami głosu nie zabierając. Zapraszany na te dyskusje, chętnie szedłem na nie, bo były one naprawdę ściśle rzeczowe i dużo dawały wiadomości o istniejących w kraju stosunkach.

Ale większe jeszcze od tych zebrań wzbudziły we mnie zainteresowanie ich organizatorzy, w szczególności Adam Krzyżanowski i Leopold Jaworski. Obaj oni nie mieli żadnych stanowych uprzedzeń — nie byli zresztą pochodzenia ziemianckiego — pragnęli szczerze gospodarczego i kulturalnego postępu kraju, podniesienia dobrobytu włościan, należytej dla robotników opieki społecznej ze strony państwa — ale mimo to byli politycznymi konserwatystami, obawiającymi się dopuszczenia mas ludowych do większego wpływu na rządy państwem i krajem. Masy ludowe bowiem są zawsze opanowane przez demagogów bez skrupułów, którzy schlebając najgorszym instynktom ludzkim dążą do jednego jedynego celu: własnego wywyższenia się. Jak najwięcej dobrego dla ludu — ale bez ludu.

Adam Krzyżanowski był w 1901 i 1902 r. sekretarzem Towarzystwa Rolniczego, obejmującego swą organizacją całą zachodnią, czysto polską Galicję. Zamierzał on wprowadzić w funkcjonowanie jego dużo ulepszeń. Ale prezes Towarzystwa, hrabia Tarnowski z Dzikowa, nie był — takie miałem wrażenie — zwolennikiem innowacji. Pomimo to Krzyżanowski zreformował pożytecznie prowadzoną przez Towarzystwo statystykę rolniczą i wytworzył w nim zainteresowanie spółdzielczością drobnych rolników. Z jego inicjatywy Krakowskie Towarzystwo Rolnicze wydało między innymi moją książeczkę *Spółki włościańskie*.

Jaworski był, zdaje mi się, już wówczas docentem uniwersytetu. Zarazem jednak był on politycznym redaktorem „Czasu”, naczelnym organu krakowskich konserwatystów. Redaktorem literackim „Czasu” był Starzewski. Nieraz odpowiadałem ich obu w redakcji. W poufnych przyjacielskich rozmowach obaj żalili się na skostniałość starych. Kiedyś Starzewski użył wręcz tych słów: „Nie wesoło z trupami chodzić pod rękę”. Ale cóż — władza, pieniądze były w rękę „starych”. Jaworski chodził często po instrukcje polityczne do byłego ministra skarbu, faktycznego wówczas kierownika polityki państwa, Dunajewskiego.

Z dala stojąc od galicyjskiej polityki — wziętem niezadługo po moim osiedleniu się w Krakowie czynny udział w pracy Towarzystwa Kółek Rolniczych i w świeżo wówczas rozpoczynającej się akcji zakładania „Spółek mleczarskich”.

Na przełomie XIX i XX wieku, dzięki znacznemu podniesieniu się stopy życiowej ogółu niemieckiego społeczeństwa, łącznie z warstwą robotniczą, wytworzyło się na rynkach niemieckich zapotrzebowanie masła, przewyższające znacznie kra-

parę tygodni przyjadę znów do Toni z formularzem statutu spółki. Ale gdy po raz drugi przybył do Rydla, przyszedł tylko wójt, który poradził mi jak najszybciej wracać do Krakowa, bo kobiety się zbuntowały i wszędzie po chałupach wyprawiają awantury, że chłopci, poduszczeni przeze mnie, chcą im ich zarobek zabrać. Mleko tak samo jak i krowy należy do kobiet — a jak będzie zbiorowa jego sprzedaż, to zysk z tego pójdzie do podziału między chłopów. A przy tym nie same tylko mleko noszą do miasta kobiety, ale i różne inne produkty swego gospodarstwa. Więc i tak będą musiały chodzić do Krakowa... i z pewnością lepiej one sprzedaż swego mleka — przeważnie różnym znajomym miejscowym paniom, a choćby i na rynku, niż to potrafi zrobić jakaś tam spółka. Nie dopuszczaj do niej, i tyle.

Oczywiście tak kategorycznie wyrażonemu protestowi kobiet chłopci musieli się poddać, a razem z nimi i Rydel wraz ze mną. Przekonałem się, że nie można zbyt szybko przenosić wzorów szwajcarskich do Polski.

Kółka rolnicze powiatu krakowskiego wiodły anemiczny żywot. Głównym celem ich było podnoszenie wydajności gospodarstw rolniczych przede wszystkim przez szerzenie należytej po wsiach wiedzy rolniczej. Powinny więc były odbywać się częste zebrania kółek, na których byłyby omawiane artykuły z wydawanego we Lwowie

¹⁾ Galicja jako oddzielny „kraj koronny” cesarstwa austriackiego posiadała własny sejm krajowy, który wybierał „Wydział Krajowy” stojący na czele autonomicznej administracji kraju.

Towarzystwa Kółek Rolniczych, spotykałem się z podejrzeniami, czy nie jestem płatnym tej składnicy agentem, a nawet ze stanowczym przeczeniem, by od jakości nasienia zależał zbiór koniczyński. Nieszczerą też była społeczna kultura wśród działaczy kółek. W jednym z nich był siewnik rzędowy i kultuwator. Korzystała jednak z tych narzędzi niewielka tylko ilość najbogatszych gospodarzy. Na moje namowy, by zachęcić większą ilość gospodarzy do rzędowego siewu siewnikiem, posyłałem odpowiedź: „Mamy rozum dla siebie, a nie dla głupich”.

Mając doktorat filozofii, nie mogłem habilitować się na wydziale prawnym, a w uniwersytetach au-

²⁾ Chwast bardzo na polach konieczny skodliwy.



rys. K. Frycz

Dwaj rektorowie: St. Tarnowski i L. Wyczółkowski



Mycielski i Morstin

(Karykatura K. Frycza w porze wysławiania Legionu, z aluzją do mie



rys. K. Sichulski

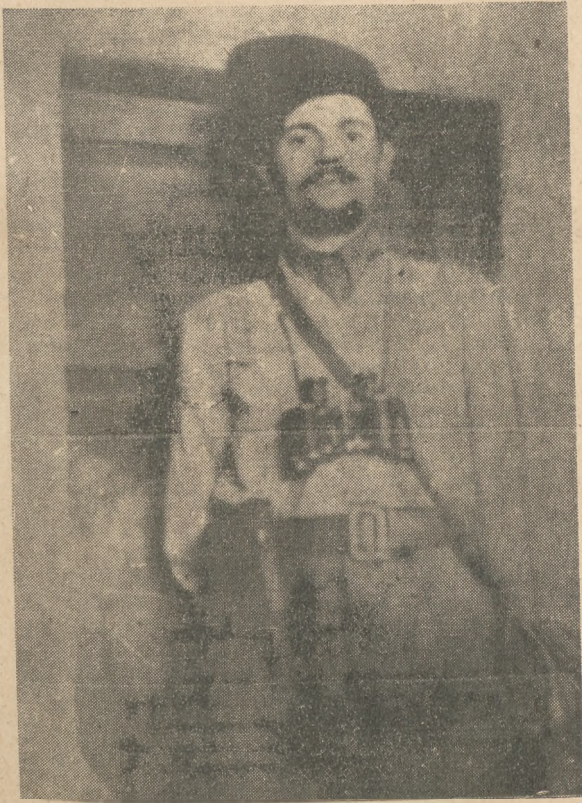
Juliusz Leo, prezydent Wielkiego Krakowa

wet pchnąć do otwartego przeciwnika Rosji powstania. Skądinąd jednak otrzymałem wręcz odmienne wiadomości. By poznać prawdziwy stan umysłów, jeździłem w 1904 i początkach 1905 r. parę razy do Warszawy za cudzymi paszportami austriackimi. Z tych moich „wywiadów” jeden przede wszystkim narzucił mi się wniosek: trzeba ścisłego porozumienia i zgodnego działania obu niepodległościowych konspiracji — Ligi Narodowej i PPS. Toteż za pośrednictwem parę osobistych wizerzeń Dmowskiego z Piłsudskim. Rozmowy te nie były bezowocne; obaj oni wzięli udział w konferencji, która się odbyła w Paryżu, a w której wzięli udział przedstawiciele rosyjskich konstytucjonalistów i socjal-rewolucjonistów, Finów, Gruzynów, Łotyszów i Ormian, a także PPS i Ligi Narodowej.

Niestety, współdziałanie Piłsudskiego z Dmowskim niedługo trwało. Piłsudski wraz z Jodką, chciał zachować niezależność polskiego ru-

GRZEGORZ KORCZYŃSKI

Akcja na Janiszów



Autor jako komendant partyzantki. Zdjęcie okupacyjne.

Zziębnięta, przemoczona do nitki, zmęczona brat partyzancka, tuląc się do wilgotnych ścian pieczar zapada w głęboki sen. Życie tych ludzi spoczywa teraz tylko w rękach czujek. Dlatego na „pierwszy ogień” wyznaczono najzdrowszych i najsilniejszych.

Naraz cichy alarm

To jedna z czujek donosi, że koło wzgorza na drodze kręca się Niemcy. Nie było to tego dnia odosobnione zjawisko. Toteż pluton był w ciągłym podnieceniu. Już nikt nie spał. Każdy był w pogotowiu, bo gdyby wykryto obecność partyzantów w kamieniołomach — sytuacja stałaby się poważna. W takim wypadku, gdyby się chcieli przerwać w bezlesnym terenie, walka byłaby nieunikniona. Podniecenie jeszcze bardziej rosło, gdy ze wznieślenia kamieniołomów patrzył człowiek na równinę, gdzie w odległości jakichś 3 — 4 km widać było jak na dłoni ciekawiej wyprawy: regularne rzędy baraków z drutami kolczastymi i nawet masę ludzką, stojącą nieruchomo na placu obozu.

Gdzieś po południu „Leon” wraz z chłopem ze wsi Opoka przywołał w worku chleb. Wiara gryzie go powoli, aby przedłużyć chwilę posiłku. (Tym razem tak się złożyło, że „Babka” Wyganowska nie miała co chłopakom włożyć do chlebaków).

Jeszcze raz szczegółowo pouczenie, jak ma się każdy zachować podchodząc do obozu, w obozie na wypadek walki, zaskoczenia i wycofania.

Natomiast „Leon” wraz z tym z Opoki dostali rozkaz przerwania o godz. 20-jej łączności telefonicznej między obozem. Kosinem i Anno-polem. Nadchodził zmierzch. Zaczyna padać rzęsiście deszcz i zrywa się wicher. Takie noce były tylko udziałem partyzantów. Zachowując wszelkie środki ostrożności, ze szpicą na przodzie i ubezpieczeniem z tyłu posuwa się pluton powoli w kierunku obozu. Gdy tylko zesłali na równinę, szpic natknął się na srożę przy wal: nadwieszany. Biedny, chcąc nie chcąc musiał maszerować z partyzantami.

Nieco dalej zatrzymano jeszcze chłopów, którzy wracali do domu z Zakłittowa. Mimo prośb, zapewnien i przysięg, że nie nikomu nie powiedzą, byle tylko ich puścić, włączono ich w tyle do oddziału. W miarę jak się zbliżano do obozu, grupa zatrzymanych urosła do kilkunastu osób. Nie było rady, narzecz ich trzymać pod strażą, aby któryś nie doniósł o obecności partyzantów w pobliżu obozu. Przewodnicy z trudem ustalają w ciemnościach, że niedaleko stąd są już pierwsze obozowe druty. Grupa zostaje tu w karnym milczeniu, natomiast dowódca, przewodnicy oraz „Edek” i „Tygrys” podsuwają się bardzo ostrożnie w kierunku „kolczastych”.

Oddaliliśmy się od oddziału kilkadziesiąt metrów. „Szojmele” mówi szeptem, że namacał drut. Każdą piątką kładzie się na rozmokłą ziemię i podniecona nasłuchuje z bi-

jącym sercem, czy nie idzie któryś ze strażników, z ochrony obozu. Jak przeraźliwie wloką się te minuty — Naraz słychać wyraźnie chlupot błota.

Trudno się ludzi — to jeden z posterunków. Odruchowo ścisnął mocniej swoje narzędzia śmierci. Oczy chciałyby wyjść z orbit, aby przemóc nocną ciemność i zobaczyć bliższego się człowieka.

Kroki stają się coraz to bliższe. I szept między partyzantami: Idźcie wprost na nas, jak dojdzie tu wstajemy i w „obroty” go.

Niestety tym razem gadziny nie osaczono. Przeszedł parę metrów mimo leżących. Trzeba było natychmiast działać. Nie pozostawało nic innego, niż natychmiastowe „Isie” podejście go z tyłu.

Posuwają się za nim. — Ulga — Chłodne lufy Mauzerów i Visa przylgnęły do łoża. Różnie w życiu bywa. Nim człek z człkiem dojdzie do porozumienia, musi go zobaczyć, podyskutować, zaagitować, przekonać. Tym razem stało się zupełnie inaczej. Przeciwnik nie widział nikogo, nikt do niego nie mówił, czuł tylko zimne żelazisko luf na skórze. Widocznie był to jego „jezyk”. Rzucając karabin podniósł od razu ręce do góry.

Z r o z u m i a ł.

Chce żyć! Kiedy przyszedł do siebie, daje dokładne dane o innych posterunkach zewnętrznych i wewnętrznych obozu. „Szojmele” wysłano natychmiast do czekającej grupy, aby „Długi” z trójką ludzi poszedł w przeciwną stronę, po osi obchodu schwytanego strażnika i zdjął pozostałych.

— Prowadź do następnego strażnika.

Posłusznie wykonuje rozkaz. Kilkanaście metrów dalej przywołuje swego kolegę i wyjaśnia mu sytuację: Kilku set partyzantów okrażyło oboz. O ile zrobisz alarm zabija mnie i ciebie. — Ten na tak piorunującą wiadomość aż przysiadł w błocie. Któryś z chłopaków „pogłaskał go” kolbą po „krzyżach” i godzina poprowadziła raźnie do następnego stróża niemieckiego ładu. Wysłany drugi przewodnik zdążył podciągnąć grupę niedaleko do wody. Mając już wprawie i doświadczenie partyzanci dotarli w końcu przy pomocy zatrzymanych do głównej bramy obozu. Tu natrafili na trzech „twardych” rzeźmieszków. Jeden z nich usiłował krzyczeć, dwóch innych zbiec, ale „stary znajomi” im to wyperswadowali, stosując przekonujący argument. W końcu cały oboz okrzyki już nie setki, ale tysiące partyzantów. Aby wzbudzić dla siebie szacunek i zabezpieczyć się przed przykrymi niespodziankami, kilku zatrzymanych przed bramą dzieliło mocno po „masielnicach”. Należało to zresztą do praw partyzanckich.

Na teren samego obozu wchodzi już dowódca z kilkoma starymi „wygami”. Reszta stoi na posterunkach, pilnując zatrzymanych wartowników i przygodnych przechodniów.

Nie jest już groźne ujadanie psów. Wysoki drab przywołuje je łaskawie do siebie.

Kóło placu obozowego zostaje „zdjęty” pupilek Petera Ignora. Ten kiedyś butny rudzielec do złudzenia przypomina liść osiki. Trzęsie się na całym ciecie. Ochłoniął wreszcie z przerażenia i jaskając się informuje że Herr komendant jest w tej chwili u siebie w gabinecie, w budynku administracyjnym. Prowadzi tam „wiarę”. Przed drzwiami grobowa cisza. Dowódca każe mu wejść do środka, zapukać i zameldować, że przyjechali Herren z Gestapo z Lublina. I ostrzeżenie na ucho: kula w łeb za alarm.

Myśli całej „wiary” są w tej chwili zgodne: byle tylko nie uciek! byle go dostać żywcem. — Kto wejdzie do środka? — zapytuje dowódca. Chwila ciszy. Za Niemcem wchodzi do prawie ciemnego korytarza na palcach dwu partyzantów. Lekkie pukanie do drzwi. — Cisza. — Trochę mocniejsze. — Grobowa cisza. — Już przychodzi zwątpienie. Pewno uciek!

Na rozkaz ryży pomalutku otwiera cicho drzwi, przez które wpada skąpe światło. Radość w sercu. Ryży wskazuje łapą na tapczan, mowi nawet z pewnym zadowoleniem: To on.

Na tapczanie leży Peter Ignor. Jeden z „wiary” podchodzi do niego i mówi: Aufstehen!, równocześnie zabierając ze stojącego obok krzesła „parabellum”. Opasy przedstawicieli herrenvolku ani drgnął. Sen miał widać smaczny. — Zapewne śnił o Grossdeutschland. Na ponowne, ale za to gromkie „Auf!” otworzył jedno oko, potem drugie.

Dopiero mocne szarpnięcie za ucho przyprowadziło go do rzeczy.



Stodoła we wsi Ludmiłówka. Miejsce narodzin robotniczo-chłopskiej organizacji bojowej

wistości. Zerwał się jak postrzelony zwierz i ryknął: Mein Gott! Po czym błyskawicznym ruchem prawej ręki sięgnął pod poduszkę po drugie parabellum, usiłując je skierować przeciw temu, który go budził. „Edek” i „Tygrys” w okamgnieniu kolbami swoich „Mauzerów” przygwoździli rękę Ignora do tapczanu.

Były komendant obozu zrezygnował z obrony. Stał pokornie na baczność! Dowódca zażądał wydania kluczy od baraków, w których przebywali skazani na zagładę. Mikołaj jak furia pobiegł uwolnić ludzi.

Oboz był całkowicie w rękach partyzantów!

Teraz zaczęło się przesłuchiwanie Ignora. Kazano mu podejść do pieca, rozebrać się do naga i odpowiadać na pytania. Wnętrze gabinetu przedstawiało niespospolity widok. Na ścianach wisiały pejce; bogata to była kolekcja. Na biurku fotografie rodziny i zdjęcia pomordowanych ludzi w niemal codziennych egzekucjach Ignora. Był dobrym strzelcem. Na porannym apelu wybierał parę „fizjonomii”, które mu wpadły w oko, kazał im biec i nie celując zabijał swoje ofiary w biegu. Tego, którego nie uśmierciła kula na miejscu, dźwigał „kabo” trzcinową pałką, zakończoną ołowianą kulą.

Na biurku koło okna stał odbiornik radiowy, opodal szafa, pośrodku stół, na którym stała niedopita butelka koniaku.

Wasia, który zdążył już pozagładać we wszystkie kąty, skierował wzrok na pejce i koniak i zwracał się do nagiego już Ignora, zaciągając: Da da, kulturalno u ciebie gospodin gitlerowiec. — „Edek” chwycił pejca, smaga nim kata i wolał rozwścieczony: „A to skąd do czego było ci potrzebne?”

Kat i sadysta zaczyna szlochać, usprawiedliwiając się, że „Befehl ist Befehl”, że — robił to, co kazał mu przełożony. Tu wzywa Boga na świadka i tłumaczy, że u niego w obozie i tak nie jest najgorzej. Tymczasem wbiega Mikołaj i melduje, że w obozie dzieją się straszne rzeczy. Otof go otwarcie baraków, kiedy uwięzieni dowiedzieli się, że przyszedł ich oswobodzić partyzanci, zaplanował w obozie niesamowity zgiełk. Wszyscy byli przekonani, że skończyła się wojna. Pierwszą czynnością wygłodzonych więźniów było poszukiwanie pożywienia! Znalazłszy nierozkładane jeszcze dwa worki chleba, rzucili się na nie, aby zaspokoić głód. Rezultat był taki

że wielu z nich zjadłszy od razu cały bochenek wilo się w okropnych boleściach, a wielu zakończyło życie. Dowódca, przywoławszy kilku, którzy pilnowali cywilów, chce przemówić do oswobodzonych, ale zamieszanie i radość, podobna raczej do hysterii, i ciągle okrzyki: „Wojna się skończyła! Wolność! Dajcie jeść!” nie pozwalają mu wypowiedzieć słowa.

Dopiero krótki rozkaz: „Ładuj broń!” potem szcęk zamków karabinowych, i wreszcie salwa w górę sprowadziły ciszę i względny spokój.

Dowódca wyjaśnił wynędzniałym, wymierzowanym cieniem ludzkim, że każdy otrzyma dostateczną ilość jedła. że wojna się nie skończyła. że miesiąc październik 1942 r. jeszcze nie przyniesie Polsce wolności, że partyzanci oddział Gwardii Ludowej im. Kościuszkii, który ich oswobodził, i który chce ich zabrać, jeszcze długo będzie prowadził walkę z okupantem niemieckim.

Podczas konfrontacji z więźniami, Ignor przyszedł do rozstrzelania, wieszania i tortur. W parokrotnym strachu pada na kolana i chce całować partyzantów po rękach i butach. Idą w ruch pejce. Pejce, którymi co dzień smagał swoich niewolników. Peter „farbuje”. Wprowadzeni na konfrontację byli więźniowie opowiadają dantejskie sceny o sadyzmie Ignora. Wymierzonym, zgarbionym przeżyłymi w obozie młody jeszcze człowiek opowiada, jak musiał uczestniczyć w egzekucji swojej żony i dziecka za „przestępstwo” znalezienia u nieszcześliwej paru surowych kartofli.

Przerywa mu „Edek” i cała gromada chłopaków (wówczas się zwołali) krzyczy do świadków:

„Zdejmiąta mu portki!”

Wystraszeni nie wiedzą co to ma znaczyć, ale wykonują rozkaz.

„A teraz hitlerowski synu prze-pros panów! Pocałuj każdego z panów Żydów w smierdzącą d...”

Żydzi się schylają. Peter z namaszczeniem całuje. Ma się przez chwilę wrazenie, że gadzina żałuje popełnionych czynów. — Nie — to nie to. Chce koniecznie żyć.

Mściwość chłopu lubelskiego znajdowała niekiedy upust i w takich pikantnych epizodach, ale całkowite jej zaspokojenie następowało tylko w śmierci wroga. Wrog musiał zginąć.

Peter przypuszczał, że pozostała mu jeszcze jedna szansa uratowania życia. Oddaje teraz dolarowe banknoty i biżuterię, blaga, aby go nie zabijali. W Krynicu jest jego żona, u której przechował cały swój skarb. — Idź złoto do złota — „Edek” do napelnionej torby do kłada cenności. — Warszawski biedom miały za co drukować nasze pisma.

Naraz słychać strzały. Zrazu pojedyncze, potem krociutkie serie k-emów. Niebawem wraca zziębnięty Wojtaszek i melduje, że Niemcy podejrzają samochodem pod oboz, od strony Zakłittowa. Okazuje się, że nikt z Niemców nie chce ryzykować życiem, stoją na drodze jakiegoś kilometra od obozu i „pykają” Panu Bogu w okno.

Nie wiedząc, jakie mają przeciw sobie siły, próbuje je „wymacać”. Strzelają na „wabika”, chcą sprowo-kować partyzantów, aby otworzyli ogień.

Po paru dniach okazało się, że Niemców powiadomili zbiegli „Długiemu” strażnicy, co więcej, że Rosjanie zrzucili desant na lasy gościeradowskie. Nie było czasu do stracenia. Ignor rzucił. W chwili, kiedy Wojtaszek meldował o zbliżających się Niemcach, młody smyk „Tadek” w obawie, żeby Ignor „nie umknął”, jak się po tym tłumaczył przed dowódcą — postrelił go. Tymczasem uwolnionym wydano z magazynu żywność, o-dzież i obuwy. Podzielono ich na grupy i każdej wyznaczono do-wódów i przewodników. Część z nich pomaszerowała w lasy lipskie, część w jankowskie i bilgorajskie, a pozostali w gościeradowskie w kierunku Ludmiłówki.

Ignor pchnięty kilkakrotnie bagnietem oddał duszę diabłu dopiero za dnia. Zyczenie starego Malinowskiego spełniło się. Peter poszedł zapewne do Wilusa.

Grzegorz Korczyński

JULIEN BENDA W WARSZAWIE



Moje pierwsze, jakże miłe wrażenie — to brak uczucia obcości w kraju nie tyle — powiedziałbym — odległym (podróż samolotem trwała 5 godzin i była mniej męcząca niż z Paryża do Brestu) co zupełnie mi nieznanym, a przedstawianym nam, przynajmniej w Colle-gue, jako kraj, który kształtował się na gruncie cywilizacji zupełnie od naszej odmiennej. Nigdy nie byłam mocno przekonany, że ludzkie nie można dzielić na te, które wyrosły z cywilizacji łacińskiej, słowiańskiej czy anglosaskiej, można natomiast powiedzieć, że na cywilizacji wyrosły lub nie wyrosły. Wy należyście do tych pierwszych. Czulem to od chwili mego przybycia i wrażenia tego nie doznałem nawet w krajach — nie jest konieczne je tu wymieniać —

Julien Benda

Jesień. Tym smutniejsza od poprzednich, że niejedną z gospodarzy wsi Ludmiłówki stracił kogoś z bliskich. — Niejedną ta chłop ziemie gryzie — rzekł stary Malinowski. — Nie prawie peroror stary, bo przeszkadzasz ludziom w robocie — ofuknęła „Babka” Wyganowska. Już z samego tonu i sposobu, w jaki zwracała się do starego, można było powiedzieć, że dobry Bóg powinien był ją raczej obdarzyć portkami, a chłopka kiecką. „Babka” cieszyła się miernym wśród partyzantów, bo już nierzad śmierć zaglądała jej w oczy. Tylko pewność siebie, zimna krew i typowa chłopska przebiegłość ratowały ją przed zandarmierią i SS-manami. Wiedzano o niej w okolicy. Że nie tylko należy do „lewych” — ale że niejednego syna chłopskiego czy córkę odebrała przy porodzie — zrecznie, fachowo, ino mgi! Niewtajemniczeni na Ludmiłowie „czuli pismo nosem”, że w wiosce wręcz życie inne — to niepowodzenie. Co więcej, wyczuwali ludziska, że idzie to wszystko z domu Wyganowskiej. Nie też dziwnego, że kiedy spotykali „Babkę”, wszystko przed nią wy-garniali.

— Dzień dobry, kumpo, Wyganowska Ej, walczyć w p-wo na siebie, ale gorzej, że i nam wypadnie go wypieć. Zaprzępaszta całuchną w-esa. Nikt to się nie ostanie.

— A o czymże wy mówicie — nie rozumieć — odpowiadała szybko „Babka”. Wicie wy co? Czaszy nie-sposkojne, lepiej takich spraw nie ruszać i z nikim nie rozmawiać. A to Niemcy mogą coś wynuchać i całą wioskę spałą. Za język i lesne też brzo Boże mogła was ukarać.

— Ach, droga kumosiu Wyganowska, jak to ma być naprawdę takie nieszczęście, to nie mówia lepiej nigdy o tym — kinę się przed wami, że nie nie wiem i nikogo nie widziałam.

I plotkarstwo zniknęło przed strachem. Ludmiłówka była zaskonspirawana.

Na postępowanie starego nikt nie zwracał uwagi. Robota szła szybko. W kuchni czyszczono karabiny i pistolety, w pokoju zaś komendant patrzył na mapę, wypytując przewodników. Chodziło tym razem o oboz w Janiszowie. Przewodnicy „Janek” i „Szojmele” uciekli dopiero co z tego piekła i opisywali dokładnie położenie obozu, straż obozu — posterunki i samego k-ata — sadystę Petera Ignora, pana życia i śmierci uwięzionych nieszczęśliwych.

Akcję na Janiszów należało przeprowadzić jak najszybciej, bo jak informowali uciekinierzy, Ignor wysłał w tych dniach kontyngent „z obozu” na mydło do Majdanka. Na ich miejsce ma przybyć świeży transport, aby dalej prowadzić budowę wałów wisłanych w okolicach Janiszowa. Dlatego nie należało zwlekać.

Noc dzisiejsza miała zdecydować, czy ci z obozu będą żyć, czy zginą. Chodziło blisko o 500 dusz. Dlatego, w miarę, jak zbliżała się chwila wymarszu, atmosfera w chałupinie „Babki” Wyganowskiej stawała się coraz bardziej poważna. Stary zaczynał się przetrząsać, co chwila wychodził na „przebiegi”, aby tyknać powietrza i dowiedzieć się co słychać na dworze?

Wchodząc baknął: — Moje ludzie, beżdzieta mieli kiepskom droge, ziemia nasiąkała, mży. — I szybko do-dał zwracając się do „Babki” — Nie kręcie się stara, idź daj krowom podezreć.

— Co ty szarlatanie, przekleństwo, wyjeżdżasz akurat w tej chwili z krowami, kiedy chłopaki sposobia się do akcji — zaczęła „Babka”. Raz by spalił te pieruniąską budę, to by człowiek nie był uwieziony i poszedł do lasu. A szczególnie dla ciebie draniu byłoby to akuratnie, bo byś się przewietrzył po świecie i na pożytek ludziom zatłukł paru Niemców. A tak chałupa stoi, krowy są, parę gruszek w ogrodzie i zai ci tego opuszc.

Komendant wstając, przerwał swary. — Szykować się do wymarszu! Za pół godziny ruszamy. — Trzeinstruował kto i co będzie robić do 6-ej.

WOJCIECH ŻUKROWSKI

rysunki Krzysztofa Henisza

M L I - M L I

— Szeffie — powiedział dotykając jego ramienia — Muszę z panem pomówić

Stali w kolejce przed stołami, na które kładli dokumenty. Na korytarzu panował nieustanny gwar głośnie rozmów i powitań. Tu było cicho. Żołnierze wypełniali kwestionariusze, to bezzadanie opuszczali ręce i rozglądali się po sali, ale świadków najłatwiej byłoby znaleźć wśród poległych. Oficerowie U.B. wypytali, szczególnie o ilość członków, siłę ogniową oddziału, akcje bojowe i straty. Zadawali pytania prawie nie patrząc w oczy przesłuchiwanym, gwałtownie bili pięciami, kładli podpisy, jakby i im zależało na szybkim załat-

świecila monopolową etykieta. Jan pamięta nawet zapach podszewki nagrzanego słońcem, jedwabiu jakby przypieczonemu żelazkiem.

Omawiał skok, na który miał ich wypuścić, choć wydawał rozkazy. Był przeciwny robocie, choć chłopcy palili się do niej, jednak rozkaz przyszedł z góry.

— Będzie okazja, żeby sobie postrzelać! — westchnął Sokół marząc.

— Ani się ważcie! — zgasił Jan. — Robota musi być cicha i szybka. Wylizcie mi się z każdego ładunku. Szkoda amunicji...

Posmutnieli, kiwali głowami ze zrozumieniem. To pojmowali łatwiej, niż gdyby powiedział: —

wiośle czarno rysował się w słońcu rozalany po wiklinach.

Od tramwaju biegli jeszcze ostatni ludzie. Wstawał długi wieczór, nagłony godziną policjina.

Jan wszedł po schodkach na wał. Miasto zwolna nakrywało się brunatnym oparem. Z domków na galarach skosem umocowanych do brzegu siwe dymki wisiały smugami, opadały i niosły się tuż nad pomarszczonym, nieczystym zwierciadłem rzeki.

— Nie myślałem — wyszeptał — że pamięć rzeczy najprostszych może być tak ciężka.

Ustawiał ich sobie w łagodnym powietrzu, dorodnych, ze światłem na włosach, pełnych sprężonej lekkości jak nagięta gałąź.

Potem tramwaj zaciągnął fałszywą nutą. Ocknął się. Spojrzał na miejsce, gdzie siedzieli. Opodał rosa. Prostującą się trawą zacierała ślad.

Rano wychodząc do pracy znalazł raport wrzucony do skrzyneczki na listy, umieszczonej przy furtce. Skok był udany. I tym razem obeszło się bez ofiar.

— Dość tych wspomnień u diabła! — westchnął Jan, przeciągając się na trawie. Szum rzeki wzmógł się. — Och głuptasy! Sami chcieliście... W słowie — głuptasy — było więcej czułości niż nagany, brzmiało pobłażliwym wyrzutem, jakim i siebie zwykle ogarniamy w chwilach szerokości.

Drózką nadchodził Murawa. Nie podnosząc głowy widział, jak towarzyszy powoli wynurzał się, szybko wyrastając ponad trawę, chwilejące się tuż przed zrenicą.

— Siadaj! — powiedział.

Zawołany przysiadł trochę wyżej na wale. Jan miał teraz na wysokości twarzy podciągnięte nogawki jego spodni i skarpetki tanie, zwinięte nad kostką. Nie podał sobie ręk, jakby jeszcze tamten uścisk przy komisji był nadal ważny.

— Co chciałeś ode mnie?

— Szeffie — zaczął, nie patrząc na Jana. — Czy widział pan, jak się dziś ujawniali? — Obrzucił go szybkim spojrzaniem i znowu się wpatrzył w nurt uciekający pod nim. — Słyszał pan, jak się przechwalał strata. Jakby to miało podnosić ich zasługi... Zdało im się, że jak przeżyli, to już są bohaterzy! Ci z U.B. też są zadowoleni, bo im ubył facetów, na których trzeba było mieć jeszcze oko... Teraz jak się wszystko rozlało, szeffie, kto z nami został? Czy tak naprawdę, teraz to widać, był kto sercem z nami?

Jan przyjrzał się uważnie jego młodej twarzy. Od nosa do końców warg biegła cienka bruzda, jak wydrapanie szpilką.

— Piłeś? — zapytał niespodzianie.

— Piłem, szeffie. Powiem szczerze... Pana też nie byłem pewny. Wolałem i dziś wypić, żeby wszystko było tak przyjaźnie.

— Nie ufałeś mi? Cóż to mnie nie znasz?

— Nie o to idzie. Może i pan ma tego wszystkiego już dość. Jak człowiek tyknie, to mu łatwiej do tamtych spraw powracać. Inaczej by tylko machnął ręką. Pan pewnie myśli: co on ode mnie chce? Nie! Nie... Chcę tylko, żeby pan tu był jak dawniej. Nawet może pan nie słuchać. I tak każdy z nas mówi sam, tylko o sobie i do siebie, tyle już wiem. Gdziebyśmy śmiać żądać, żebyś pan teraz jeszcze brał sobie moje sprawy do głowy...

— Gryzie cię coś?

— Gryzie, szeffie. Czy ja jeszcze komu zaufam? Chyba nie. Za długo się wierzyło. Dlatego niech pan szef się nie obrazi, ale przyniosłem...

Wyciągnął z kieszeni ukradkiem flaszkę i wsparł o kępe traw między nimi. — Będzie lepiej słuchać pana, a mnie w gardle nie zaschnie...

— Jeżeli ode mnie czekasz rozgrzeszenia...

— O to jeszcze najłatwiej. Byłem, byłem już u powiedział... Ale taki najłatwiej odpuścił, bo coś go ja właściwie obchodziło. I ja w drzewo odpuścił potrafię... A to dalej w czowieku siedzi... — zamyslił się niespodzianie.

— I gryzie — podsunął Jan.

— Muli — znalazł właściwe słowo — muli, ani strawić, ani wyrzucić!

Jan rozumiał jego rozgoryczenie, zdawało mu się, że narasta, więc położył rękę na flaszkę, po którą sięgał już Murawa.

— Nie będziemy teraz pili.

— To i lepiej. Ostatni raz jakęśmy się tu widzieli...

— Pamiętam, wypuścili cię wtedy z Płaszowa.

— Chciałem iść na tę noc do domu, ale szef zakazał...

— Nie pozwoliłem ci?

— A tak. I słusznie. Następnego dnia już z mną szukali. Mogli się byli pospieszyć.

— Nawet tego nie pamiętam.

— Wtedy to byłem zły... Ale przypomniałem sobie przysięgę i posłuchałem. Szef musiał coś wiedzieć...

— Nie wiedziałam nic, tylko znam ich trochę. Czuję, że cię będą szukać.

*) Oddział Partyzancki.

Ciężką ręką mechanika nakrywa stuloną dłoń Jana. Reża jest czerwona, o zniszczonych paznokciach i mimo że Murawa nie był dziś w warsztacie, robi wrażenie niedomyte.

— Czuję się tylko wtedy, jak się ma stosunek do człowieka — wyjaśnia uczenie — trzeba go lubić. Teraz mi lżej się szeffie przyznać. To ja zgubiłem Mściściela!

Widząc zdumienie na twarzy Jana i jakby zakłopotanie, wali się mocno pięścią w pierś, powtarzając: — To ja, to tylko ja jestem winien!

— Ale któryż to był u licha? — zżyma się Jan.

— Mściście! wzięli razem z mną. No, ten młody, co nam go z OPartu* przysłał.

— Aha, ten tchórzyliwy szczeniak — Jan marszczył niechętnie górną wargę. — Ten. — Mleko pod nosem. Młimili.

Powiedziałem szefowi wtedy, że mnie puścili i że chcę do domu, a szef — nie! Potem powiedziałem, że mały gotów, a szef tylko: — wiem! Więc nie gadałem więcej, ale teraz chcę wszystkich wygarnąć. Niech szef rozsądzi!

Jan pamięta tę duszną noc letnią. Miasto wygaszone zapadło się w czarną nieckę. Czasami daleko dachy zarysowały się w pekach suchych, zielonych iskier, zapalonych przejeżdżającym tramwaju, długi metaliczny jęk skręcających wozów na Salwatorze. Bliżej z bud na galarach rudymi sekami sączy się światło w burą wodę. W powietrzu wisi kurz, który lasuje się w ustach smakiem wapna. I wtedy padło to kłamstwo: wiem wszystko. Miało umocnić jego autorytet, wydobyć prawdę, po której nawet nie chciał mu się sięgnąć. Jan uśmiechał się pobłażliwie — przecież każdy z oficerów — wiedział wszystko, aż do chwili ostatniej, gdy przychodzili do niego.

Nie. Jan nie ma ochoty przyznawać się, że skłamał, nawet uważa, że byłoby to niepedagogiczne; rozkazuje:

— Opowiadaj jak było, wszystko po kolei.

— Pewnie, inaczej nie można! — potwierdził Murawa skwapliwie.

Początek sprawy Jan znał. W pierwszych pacyfikacjach w lasach za Myślenicami przetrzepano OParty, spaloną leśnicówkę i wymordowano całą rodzinę gajowego. Cudem niemal uratował się chłopiec, którego Gołab, dowódca oddziału, kazał podrzucić do miasta. Chłopak miał lat piętnaście, był wrażliwy i trudny do prowadzenia. Przegrana go Murawa. Chłopiec się palił do Murawy. Po prostu na oczepnego Murawę go zaprzysięgił i posłał na kurs. Chłopiec wybrał sobie pseudonim — Mściście! Jan znał go z wykładów, przysłał raz nawet na robieniu notatek, co było surowo zabronione. Chłopiec był dość wysoki, szczupły, z twarzą prawie dziewczęcą i białymi włosami, które mimo zwilżania i siatkę zwijały mu się w pretensjonalne fale. Choć krył się ze swymi lekami, kiedyś go łatwo rozgryźli i z właściwym młokosom okrucieństwem sztydził z jego panicznych odruchów. Przeczytali go Niemowiaczek, Mleko pod nosem, albo po prostu Młimili i tak się to przyjęło, że Jan go tylko pod tym pseudonimem pamiętał. Mściście! figurował jedynie w kartotece dowództwa.

Owego dnia, w związku z aresztowaniami, trzeba było przerzucić magazyn broni, przenoszone paczki po kilku, w biały dzień, środkiem miasta. Młimili, do którego dowódca plutonu nie miał zaufania, ruszył jednak za kolegami. Nie nie niósł, szedł czysty parę kroków za nimi, przeżywając zapewne emocje urojenego niebezpieczeństwa. Gdy na rogu Zwierzynieckiej zatrzymał ich patrol, Młimili spłoszył się i zaczął uciekać. Niemcy rzucili się za nim, zapominając o zatrzymanych. Chłopak uciekał głupio, wpędził go do jednej z kamienic i wreszcie wyciągnął go z piwnicy, gdzie się próbował ukryć, spiękanego i umazanego mianem.

Dali mu kilka razy po łbie, żeby go zmieknąć. Potem, ponieważ kartę pracy miał nieudolnie sfałszowaną, bo to najdłuższe sprzedawano szmuglerom, zabrano go na Komendę Policji na Franciszkańską.

Właściwie dopiero dziś Jan rozumie, że gdyby nie przestrach chłopca i ucieczka, na pewno by się bez strzelaniny nie obeszło.

Młimili mieszkał u Murawy, więc zrobiono w domu rewizję, nie jednak nie znalaziono. Murawa mimo ostrzeżeń, pewny swych papierów z elektrowni, wracając z roboty do domu, sam wpakował im się w ręce.

Oczywiście i jego dowodom nie ufało zbyt. Zabrano go dla konfrontacji, a w końcu do wyjaśnienia sprawy zadawano w budę i powiedziano do obozu „wychowawczego“ w Płaszowie.

Opowiadając Murawa patrzył w burą wodę Wisłoki, ale widział tylko obrazy, które w nim się podnosiły jak kłęby dymów.

A tu właśnie w dole przepływał galar. Znosiło go bokiem. Flisak zgity w łuk przebiegał bosymi nogami po desce, parł na drag sterowy, by go znów z pluskiem przerzucić. Pod galar wpadały puchate obłoki, wypływały z drugiej strony falujące lekko, nikły dopiero, gdy docierały brzegu. Jan biegł za nimi wzrokiem. Lekkim cieniem wzbijały się po nasłonecznionej ścianie klasztoru, u-

ciekały ponad dach i wierzchołki drzew, na niebo pełne mocy.

— Ostrzygli nas, choć nie mieli prawa. Operalem się, ale dali mi po karku i przekonali, że tak trzeba. Płaszów był wtedy rojny. Przerzucali tych z Majdanka i z Pustkowie. Nawet nazganiali skądś, chyba z Węgier czy z Rumunii, ostatnich Żydów.

Właściwie nie przejmowałem się, bo oboz był jak znajomy, o krok od domu. Coż ja miałem z tym wszystkim wspólnego? To tylko przez chłopaka się wkopałem. Ale Niemiec z elektrowni musiał mnie wybronić, bo znałem się jak nikt i ryzykowałem pod prąd. A chłopca mogli najwyżej szurnać na roboty... Oje, wielka rzecz! Byłem wtedy zły na niego, myślałem: Niech jedzie, to mu dobrze zrobi. Nauczy się, tam go od piersi odstawią!

Żydzi byli osobno, ale na widoku. Poprzyprzegli ich Niemcy do platform. Wozili pustaki z bocznicy i śpiewali. Ciągłe jedno i to samo, z góry na dół i znów do góry, aż od tego śpiewania żęby cierpły. Chciałoby się lecieć i krzyzczeć, żeby przestali, albo im kłaka trawy do żęby wetknąć. Od tego śpiewania wszystkim ręce opadały, tylko się iśść i płakać.

— Co oni robią? — zapytałem jednego ze starszych więźniów, piaskarza — że tak cholery śpiewają?...

— Swoją śmierć woła, to co może mają krakowiaki nucić?

Te pustaki miały być na podręczne krematorium.

Z nami byli różni. Jedni puszczali z Montelupich, inni pobrani ze świata. Pamiętam całą grande, ale dwóch szczególnie. Jeden — starszy już, kasjer, co się stale zaklinał, że jest niewinny i patrzył, co by wycygnąć, taki był nienażyty; ktoś mu powiedział, że jak chce wszystko przetrzymać, to musi się odzywać, więc laził z miszką i żebrał, a nawet jak świnia po innych wylizywał puszkę; drugi — piaskarz z Dębni, wsadził go, bo na robotę nie chodził, tylko po dziwkach sabutował. Dwa razy dziennie dostawał paczki od przekupionej wachmana. Rano jedną od narzeczonej z Borku, wieczorem drugą aż z Woli Justowskiej.

Chłopiec garnał się do mnie, ale go przepędziłem, że to dla tajemnicy organizacyjnej lepiej. — Trzymaj się równo, mówię, nie bądź Młimili! Zapierał się, że nie jest tchórzem, tylko sam nie wie, co go poniosło. Poproszył się i już. Nawet wieczorem zaczął się stawiać i popisywać; tylko się ogładał, czy na niego patrzeć i podziwiał.

Jan nam doli się wreszcie, bo buchalter swoją porcję wsunął i znowu skomla, żeby mu kto dosypał. To mały mu swoją odstąpił, a tu piaskarz zagadał buchaltera i sygnął mu w miszkę żużlu zza proga. Nie, żeby zły był, tylko się go zbyt trzymały. Głodu wtedy nie było, mógł figlować...

Jak starem zagryzało w protezach, dalej lamentować, a wszyscy w śmiech. Tylko mały sunie do piaskarza i krzyczy: świnstwo. Piaskarz chłop jak byk, aż przychlił ze zdumienia, że się taki szczen na niego porwał. A mały się drze i bije pięścią w stół: Nie pozwól, to krzywdą i grzech! Więc piaskarz złapał miszkę i chlusił chłopakowi kaszą w gębę.

Man kolbą nie nawrócił, byłby maszerował do drutów.

Wtedy mój mały podnosił rękę.

— Co i ty chcesz? — zapytał komendant.

— Ja — odpowiedział, więc skinał na niego szpicrutą.

Chłopak wyskoczył z szeregu. Zrzucił z siebie bluzę i koszulę wesolo jak do kąpiel. Rozebrany do pasa podszedł do słupka i przypasał sobie hak, żeby nie było za wysoko. Przywiązali mu ręce nad głowę. Cały czas się uśmiechał, a czasem rzucał głową, jakby mu na oczy spadały te włosy, co ich już nie miał. Zdawało mi się, że jest tylko trochę zdziwiony, że to tak sprawnie idzie.

(Dokończenie na stronie szóstej)



wieniu wstydlwego obrzędu ujawnienia Czasami padał jakiś głośny pseudonim, wtedy podnoszono się, by nie bez uśmiechów uznania powitać niedawnego przeciwnika.

Jan odwrócił się słysząc szept. Za nim stał Murawa, elektrykarz. Nisko trochę ukradkiem uściśnili sobie mocno ręce.

— Szeffie, potrzebuję tej rozmowy...

— Dobrze — odpowiedział Jan. — Gdzie się spotkamy?

— Spotkamy się nad Wisłą, tam gdzie ostatni raz. Koło Norbertanek — dodał niepewny, czy Jan pamięta.

— O której?

— Jestem wolny, ale to się jeszcze pociągnie — wskazał głową na stoły — Może o piątą?

Obaj się nagłe uśmiechnęli, przylapawszy się, że naznaczyli sobie spotkanie, jakby robota jeszcze trwała, lub miała być podjęta.

— A może lepiej gdzie bliżej, w knajpce?

— Nie. Wolę nad Wisłą, będzie mi swobodniejszy. To do piątej.

Do końca już stali jeden za drugim, nie odezwawszy się słowem.

Jan nie lubi, gdy do niego mówią — szeffie. Przypomina mu to najtrudniejszy rok wojny, gdy po aresztowaniach niespodziewanie powierzono mu dowodzenie grupą.

Za ten unfy szept, za uścisk ręki trzeba płacić. Często wracał z ćwiczeń, zmęczony, prawie upokorzony ich posłuszeństwem. Powierzali mu się, mogli z nimi robić co chciał.

Przypomniał mu się tekst Ewangelii: „Każesz jednemu — idź, a idzie, każesz drugiemu — czyni, a czyni...“ Powiesz trzeciemu — zabij... Nie Jan nie czuł się dobrze w roli dowódcy. Zbyt się z chłopcami żył, wydawało mu się, że powinien być przy nich, że potrafi ich zawsze osłonić i wyprowadzić. W Dowództwie Odcinka zwracano mu uwagę: „Oni mają samą robotę wykonać! Panu nie wolno się narażać. Narażając siebie, naraża pan i nas, całą centralę“.

Łatwo jest wykreślać zaszyfrowane pseudonimy w kartotece pulkowej, ale gdy się z chłopcami żyło, gdy się pamięta głos, oczy, nawet zapach ciała zgrzanego po ucieczce i radosny śmiech triumfującej młodości...

Jeszcze nie ma piątej, a Jan już leży na wale, w bujnej trawie. Wisła w ciśnie gardzieli skalnej gada gniwnie. Woda pogięta pradami, pełna kregów i wirów ma zmienny kolor gołębiowego skrzydła. Na drugim brzegu żółtawa, ciepła ściana klasztoru Norbertanek, oblegana przez pierwsze nagie ciała. Na ciemnej trawie plamy białizny.

Niebo było przysnute białawym oparem, rozmazanym lotną smugą, przez którą przeświecał błękit pogodny i wysoki. Za mostem dębnićkim zieleniały dachy kościołów, błyskały krzyże skrzyżnymi galeziami.

Jan patrzył na młokosów w kolorowych czepkach i trójkątach. Podjudzali się krzykiem do skakania w kipiącej gardzieli skalnej gada gniwnie. Woda pogięta pradami, pełna kregów i wirów ma zmienny kolor gołębiowego skrzydła. Na drugim brzegu żółtawa, ciepła ściana klasztoru Norbertanek, oblegana przez pierwsze nagie ciała. Na ciemnej trawie plamy białizny.

Siedzieli we trzech nad marynarką złożoną w kostkę, na którą ciskali karty. Flaszka po kawie

Szkoda mi was na głupią strzelaninę...

Przeszedł wtenczas koło nich starszy pan, w czarnej alpagowej marynarce i płaskim słomkowym kapeluszu. Spojrzał na nich, na karty i flaszki. Nie mógł ich skarcić, więc uderzał tylko gniewnie laską, łamiąc wierzchołki pokrzyw. Szurał nogami obutymi w pantofle na plectonie ze sznurka podeszwie, jakie masowo produkowało RGO na letni sezon.

Chłopcy odmaszerowali, tak się to nazywało, właściwie zbiegli z waju i szli nad samą wodą do przewozu. Zanim łódka nadpłynęła, zabawiali się puszczaniem kaczek. Dwaj z nich byli w spodniach mundurowych, gimnazjalnych, spłowiałych na fiole.

— Mogą wyjść cało — pomyślał. — Oni jeszcze nie zauważają niebezpieczeństwa, nie dopuszczają do siebie myśli, że może ich osiągnąć.

Alle jest strach, który niespodziewanie spada i obezwładnia.

Czuł koło twarzy zapyłoną trawę, pachniała zmielonym wapieniem, charakterystyczną wonią podkrakowskich dróg. Słońce grało go w plecy, łaskotało po karku. Zerwał listek szcawiu i zgryzł, z góry już znając smak, z ustami pełnymi śliny.

Chciał porwać się, zbiec za chłopcami, żeby choć z daleka nad nimi czuwał. Ale wiedzy swojej nie mógł im przekazać. Każdy z nich musiał sam. Jeśli wcześniej śmierć nie stawała się największym zdziwieniem.

Po raz pierwszy wydało mu się, że jest dłużej od nich starszy. Wrzesienie walki, rana, niewola, choć zapomniane tkwiły gdzieś w ciebie skorem do nieposłuszeństwa. Nie był to zwykły strach, bo widział siebie chłodno, jakby z pewnej odległości, która pozwalała nawet na grymas krytycznego uśmiechu. Spokojnie zmuszał siebie, jak konia wylamującego się przed przeszkodą, do skoku w niebezpieczeństwo.

Dzień się przechylał, a głosy nad wodą cichły. Czas byłoby pójść do domu, gdzie ojciec co chwila podchodził do okna i wypukuje żółkimi od nikoty paznokciami niecierpliwego marsza. Myśl o niepożądanym niepokoju drażniła Jana i przyniosła zarazem ulgę.

Dobrze jest tak leżeć i nie myśleć o niczym — szepnął, jakby tym zbagatelizowaniem przekreślał ostatecznie swoje wątpliwości. Spojrzał w bok. Trawa była wygnieciona, zachowała odbicie młodego ciała. Widok ten skojarzył mu się erotycznie, a może to tylko zachód dyszący ciepłem na ucho i pozycja, w jakiej leżał. Dziewczęta w lekkich sukienkach przechodziły górą, nie widział w skrócie twarzy, tylko długie, spieczone słońcem nogi. Szły rytmicznie i nuciły. Nagle wzdrygnął się. Tracono go w kostkę. Za nim stał emeryt, który widać powracał ze spaceru.

— Nie śpij pan! — powiedział zgryźliwie — Godzina policyjna blisko!

— Dzięki! Nie śpij! — zmrużył Jan oczy pod słońce. Nie był pewny życzliwości starca. Zbudzono go raczej z zawiści i urazy o ten beztroski sen na trawie, butelkę, karty i młodość.

Klasztor stygł, był już koloru słomki. W zakolu, gdzie prąd się wygładził, woda pociemniała jak oliwa. Przewoźnik wychylony z przepełnionej łódki, wsparty na



ADOLF NOWACZYŃSKI

rysunki MARII HISZPANSKIEJ

WIOSNA NARODÓW*)

Akt pierwszy
PRZEDSWITY

W „Strzeleckim Parku” na Lubie-
czu.

Z lewej, wzdłuż calej polany sze-
rocka weranda drewniana przy ma-
łym dworku. Na werandzie ustawio-
ne stoliki i krzesła. Od frontu na
stłupach przybite białe tekturowe
tabliczki, na których napisy wysztuf-
towane;

„Borgować się nie borguje”.

„Psy i suczki uprasza się prow-
dzić na linie”.



Przed kawiarnią i między stoli-
kami spacerują sobie swobodnie
kury, koguty, pantarki. Na scho-
dkach drzemie kocur; jest także nie-
co czarny, nieco żółty. Zza parka-
nu Parku Strzeleckiego, a więc po
prawej stronie od ulicy Lubicz, sty-
czą mocno zachrypniętą kataryn-
kę, grającą popularną melodię;
„O mein lieber Augustin”...

W głębi na werandzie stoi Nie-
mowa z rozkudłaną głową, w
zgrzebnej, rozwartej koszuli, w
gwałskich portkach i zdaje się z
wółem na szyi; stoi i sypie kurom
okruszki z tacki.

ZACZYŃAMY:

MAMAN (do Thomaina): Si vous
vulez mein liebster, żeby pana
aplaudowali w Teatrze, nie możez
pan tak sans façon i sans pardon
wygadywać na krakowiaków. Ver-
standez-vous? Przecież to wszystko
rozchodzi się dans tout le monde...

THOMAIN: Czy to ja tylko je-
den, pani dobrodziejko?

MAMAN: C'est égal... C'est égal...
wszystko jedno... Ale panu nie wy-
pada... nie comme il faut... nie go-
dzi się. Cela ne fait rien...

THOMAIN: A co to inni wypisu-
ją w „Jutrzenkę” i w „Swistku” pan
Łebkowski, pan Gadomski, a Wasie-
lewski, a Anczyc.

MAMAN: Laissez la! laissez pas-
ser! Niech sobie oni wypisują, co
im ślina na pióro przyniesie i do
łbów strzeli. Pan Anczyz srogo kie-
dyś odpokutuje za te swoje wier-
szki w „Jutrzenkę”. Nikt o nim w
potomności dobrego słowa nie po-
wie, a tylko jedno: fi donc, fi donc.
Ale pan! taki arysta! Künstler z
Bożego dopustu. Nasz Talma, on dit
en Cracovie. Co się to panu w tym
bobrać i do polityki wtrącać i cią-
gle te sekretury pisać na beamterów
i sottises i malicje i pikowania?

THOMAIN: (raz po raz oglądając
się za nakirywającą przy stolikach
Malwiną): Ja tylko pikuję tych na-
szych pantoflarzy i szlafmyców, co
się zbyt łatwo pogodzili z dzisiej-
szym rzeczy stanem, z odebraniem
własności ostatniemu strzępkowi pol-
skiej ziemi wolnej.

Dziewczęta przestały uwijać się
i słuchać.

MAMAN: Ce n'est pas votre mé-
tier, votre profession, mein liebster.
Zostaw pan to żurnalistom takim.
Chcesz pan, żeby panu brawo bił le
beau monde po łóżach i fotelach,
to musisz raz na zawsze zaprzestać
tych sekowań w „Jutrzenkę”. Chy-
ba, że ci chodzi tylko o aplauzy pa-
radu za stehpartner?...
MELANIA: (półgłosem do Mal-
winy): Stuchaj, słuchaj.

MAMAN: Bo i cóż z tego, że za-
grasz tak ravissant, tak épatant ta-
kiego Wilhelma Tella, jeżeli cały
wielki świat Krakowa na złość bra-
wo bić będzie panu Bendzie.

THOMAIN: Nie zazdraszcam wa-
równych kolede Bendzie. Każdy z
nas innym szlakiem na szczyty sław
w Europie się wspina.

MAMAN: Je sais, je sais, naturel-
lement, nie o to chodzi. Ale tu trze-
ba myśleć o przyszłości. — Futurité
mon cher! Będziesz chciał w życiu
stać się kiedy na słubnym kobier-
cu...

MELANIA: (do Malwiny): Sły-
szysz?

*) Fragmenty dramatu pod tym
samym tytułem.

MALWINA: (zniecierpliwiona):
Słysz.

MAMAN: ... to któraś matka có-
rę ci powierzyć odważy się, skoro
tak z matadorami miasta zadzieraś?
Persez donc mon cher. Cóżby było,
gdybyś kiedy engagement tutaj
utracił. Répondez — moi.

Niemowa na werandzie wyniósł
teraz wielki cebrzyk z pomysłami,
postawił go na balkonie no i słucha.

THOMAIN (znacząco, głośno, pa-
trząc ku Malwinie): Oco tu mamam
dobrodziaku utrafiła w samo sedno.
Gdyby moja kolaboracja w „Ju-
trzenkę”...

... cechy za nami. żydowiny, szew-
cy rzeźniki przy naszej partii.

MELANIA (zbliżając się do papy
Louis, serdecznie): Czy kochanemu
papie można czym służyć.

PAPA LOUIS: Dziękuję panno
Melańciu. Po powrocie z manew-
row konsomatów, biorąc profesora
pod rękę, głośno, tak żeby inne sto-
liki słyszały. No, profesor, idziemy
na egzercykę! Trzeba nieco kara-
binkami poćwiczyć bo nadchodzą
gorące czasy. Przyda się nam ten
kunszt mon cher Spiessburger!

Przy stolikach zdumienie, poru-
szenie, Papa Louis z Profesorem idą
żwawo w głąb i za werandę

SENATOR (do prezesa wzgardli-
wie): Cóż ten mentecaptus taki roz-
promieniony. Widziałeś panie Janie
Kanty?

PREZES: Ano musiał dzisiaj du-
żo utargować. Zdziera kundmanów
za swe francuskie jedwabie co się
wlezie.

SENATOR: Ej to nie z tej przy-
czyny mi się widzi (znacząco).
Wszystkie ojczyźniaki znowu pod-
noszą łby do góry!

Z prawej sunie nowy gość, pan
Antykwarz Gaudenty. Jest w bar-
dzo staromodnym kabacie długim,
w północznych i pantoflach z kla-
merkami. Kłania się na wszystkie
strony uniżenie. Podchodzi do stoli-
ki senatora.

GAUDENTY: Sciele się do stópek
pana senatora. Uniżony sługa pana
prezesa dobrodzieja.

Maman i pani Gizela zasiadły na
werandzie do pikietu. Melania kre-
ci się w ogrodzie między gośćmi.

SENATOR (protekcjonalnie): A
dzeń dobry panie Gaudenty.

PREZES: Dobry, dobry...

GAUDENTY: Padam do nóżek...
Przysiąść się czy wolno?

SENATOR: A siadaj pan sobie,
prosimy.

PREZES: Co tam nowego? Na co
sobie jegomość pozwolił?

GAUDENTY (do Melanii): Kon-
fekt talerzyk bym prosił, że
dwie ze trzy grzanki. (trzępię chu-
steczka krzesło, wyciera, potem sia-
da). Nowiny są, a jakże! i to różne
nowości, nie sto a tysięcy... tylko
przyjemne to nie bardzo. W tej
chwili właśnie widziałem się z ga-
zeczniakami z „Jutrzenki”.

SENATOR: Zadajesz się dobro-
dziej z takimi szmarotzami? Jak
można?

GAUDENTY: Z profesji panie
senatorze, z profesji. Zmuszon do
tego, zniewolon. Bywają u mnie
w księgarni klienci.

PREZES: A toż te lausbuby te-
raz suchej nitki na nikim nie zo-
stawią. Toż wypisują na nas co im
ślina na ożór przyniesie.

SENATOR: Wstyd na gród pod-
wawelski, że w nim gniazdo sobie
takie szelmy nie warte uwyli! Co
wypisują o biuralistach, o mnie,
o księciu Jabłonowskim, o hra-
biu Adamie, w ogóle o „Bara-
nach”.

PREZES: I to z miesiąca na
miesiąc, z tygodnia na tydzień, co-
raz czelniej.

GAUDENTY: W ogóle wszystkie
„Ojczyźniaki” bardzo znowu zadzie-
rją łbów do góry.

SENATOR: Prawda? Prawda?
Właśnie tom przed chwilą skon-

statował. Znowu czuć w powietrzu
jakąś insurekcję.

GAUDENTY: Niechże Pan Bóg
broni i zachowa. Już i tak bilety
akcyjne Kolei Żelaznej opadły w
cenie.

PREZES (przerazony): Co pan
mówisz? Od kiedy?

GAUDENTY: Od wczoraj wie-
czora. Właśnie mi to w Banku u
Helców mówili. I redukcja banko-
wotów bardzo wielka.

SENATOR (niespokojnie): To coś
zraczy. To coś się kroi. To coś jest
zatem. Miał tedy znowu racie ten
Rosenstoss.

PREZES (pokazując na prawo):
Patrzcie panowie, oto sam Nedostal
zatrzymał fiakra przed furtką.

SENATOR: Też jakoweś jest sig-
num. Zwykle przybywa piechota.

PREZES: Możemy go wprost za-
interpelować?

SENATOR: Zobaczymy przed-
tem, w jakim komisarz humorze.
Jek w złym, to lepiej dać mu spo-
kój.

Od prawej kroczy poważnie pan
konceptista cyrkulany B. A. Nie-
dostal. W galowym jest uniformie,
białych pantalonach ze złotymi
lampasami i złotym kołnierzy przy

PREZES: (do Bochenka złośliwie):
Byle ino prawdziwą okazała się.

BOCHENEK (w przechodzie do
stolików): Tak... Bochenek... i wita
was rodacy ze szczęśliwym nowi-
nami.

Akademicy bezceremonialnie usu-
wają gości przy stoliku senatora,
podają krzesło Bochenkowi, który
wchodzi na krzesło.

PREZES (oburzony): Cóż to zno-
wu za maniery?

SENATOR: Może na stół? Szkan-
da!

Bochenek wchodzi na stół, okrzy-
ki, oklaski.

MALWINA (do Melanii): Leć na
polanę! Dawaj znać naszym! Niech
Gwardia przybywa.

Nedostal szybko naciąga rękaw-
iczki, staje w urzędowej postawie,
poważny. Melania odbiega w głąb.
Wszyscy już wstali od stolików.
Czekają.

BOCHENEK (wymachując plikiem
gazet): Ziomkowie! (głośnie), Ro-
daczy! (głośnie) Obywatele królew-
skiego miasta Krakowa. Radosna
wieść przychodzi mi podzielić się
z wami.

PREZES (do Bochenka złośliwie):
Byle ino prawdziwą okazała się.

PREZES: Który?

SENATOR: Ten z Grodzkiej ze
Stradomia. Korzenny. Tydzień temu
mi wróżył. Okropność! Okropność!
Ledwieśmy przez te dwa lata o-
detchneli i jużby znowu jakieś nie-
spokojności zapowiadać się miały?

GAUDENTY: Od Widnia bardzo
złe wieści idą. Ino jeszcze nie wia-
domo, co i jak, ale w każdym razie
nie dobrze się szykuje.

PREZES: To chyba gorszejszych
czasów już być nie może. Gotówki w
kaszach brak, kredytu nie znaj-
dziesz ze świecą, mieszkanka po
realnościach pusto stojące, w han-
dlowaniu zastój, jakiego najstarsi
nie pamiętają, rzemiosła w rujna-
cji. W czym może być jeszcze go-
rzej?

SENATOR: Ano szarmyśle znow
zacząć się mogą z Austriakami
i perturbacje plebejów. Już są
gdzieś indziej, to tam i do nas dojdą.

GAUDENTY: Dopóki Metternich
régime trzyma, to jeszcze pod da-
chem naszej monarchii zasnąć
można jako tako. Ale niech on
się przewali...

PREZES (stukając zabobonnie w
stół): No nie mówię łaskawco, je-
szcze by w złą godzinę. Przecież
cała Europa jakby na wulkanie
teraz.

GAUDENTY: Co prawda, odkąd
tam pamiętam a liczę sobie już
sporo, to ta Europa jeszcze z wul-
kanu nie zlażała, tylko wciąż na
nim siedzi. No i jako tako.

SENATOR: Ale tak niespokoj-
nie, jak teraz nie bywało jeszcze
nigdy. W Paryżu rewolucja, we
Włoszech rewolucja, u Madziarów
rewolucja, a wszędzie karbonariu-
sze i karbonariusze.

GAUDENTY: No i u nas jakieś
brewerie zapowiadają. Ojczyźniaki.
Kreć się w każdym razie jak mu-
chy w ukropie.

SENATOR: Bochenek we fiakrze
uganiał dziś po mieście jak kot
z pecherzem. A to nieodbyrny znak.

PREZES: Podobno Kirchmajery
już także do patriotników przeszły.

SENATOR: Ano doczekamy się
głodu, jak amen w pacierzu. Bę-
dziemy pećkak kupowali za szczere
srebro! Tak już bywało.

GAUDENTY (tajemniczo): Neup-
perga z Moltkiem widziałem teraz
jak na spienionych koniach dra-
łowali od zamku! Ponoć szukają
Excelencji z ważnymi sztafetami.
A Excelencja gdzieś na daleki szpa-
cier wyjechał.

SENATOR (tajemniczo): Niedo-
brze też jest, że akurat feldmar-
szałka od czterech dni podobno
brzuch ciężko boli.

PREZES (cicho): Skąd ta wiado-
mość?

SENATOR: Z apteki od Sztock-
marów. Od nich rycynus biorą...
Musiał akurat teraz...

GAUDENTY: Brandszryfty pod-
burzające na rogach kamienic już
nalepają. Sam u siebie zdartem
oburzon!

SENATOR: Coraz więcej medy-
ków długie brody zapuszcza, a
przecież wyraźnie jest verboten.

GAUDENTY: Ano febra rewolu-
cyjna znowu trząsą nami zaczyna.
„Morbus Polka”. Widocznie w de-
kietach Opatrzności jest tak, że-
byśmy za żywota spokoju nie za-
znali.

„rocku”. Wesół ma minę ale uro-
czystą, bo przy boku szpadka, a w
ręku bukiet w białym glansowanym
manszecie.

Mężczyźni przy stolikach kłaniają
się z rewerencją, niektórzy nawet
wstali. Senator, Prezes, Ambroży
recytują. Guthen Abend. Padam do
nóżek... Gemster Diener... Sługa
Pana komisarza.

NIEDOSTAL (przechodząc przy
stolikach i kłaniając się uprzejmie,
ale szeptem): Maucta panowie! Maucta!
Ma pokłona! Veczer dobri pa-
nowie!

Ołbrzymie zdumienie wśród wszy-
stkich. Jedni patrzą na drugich. Ne-

BOCHENEK (do prezesa): Ostat-
nie numery „Augsburger Zeitung”
penie prezeste!

PREZES (śmiało): W augsbur-
skim wyznaniu często omyłki by-
wały.

BOCHENEK (tryumfalnie wycią-
ga inną gazetę): Tym razem i „Wie-
ner Zeitung”. (do senatora). W Wie-
nierkę panowie wierzyć?

GŁOS Z TŁUMU: Jak w ewan-
gelię!

Śmiechy.

GAUDENTY (do Bochenka): Ra-
czej! raczej!



dostał zmierzają prosto ku werandzie,
i zatrzymuje się aż przy ostatnim
stoliku. Tu stanął, bukiet złoty i za-
czyna zdejmować rękawiczki.

SENATOR (półgłosem do preze-
sa): Co on mówił? Po jakiemu?

PREZES: Chyba mi się przesyłsza-
ło. Wyrażnie było „maucta”.

GAUDENTY: Po czemu. Wyraż-
nie na głos po czesku.

PREZES: „Ma pokłona”... Maucta.
Ogólne poruszenie. Jedni podcho-
dzą do drugich, zapytania, odpowie-
dzi.

Dwojkami od furtki z prawej idą
akademicy. W strojach burszow-
skich są z czapkami i laskami. Wie-
lu duże brody zapuszcilo. W środku
między sobą wiodą z atencją pana
Bochenka. Jeden z akademików,
wchodząc pierwszy w ogród za-
krzyknął: „Niech żyje ojczyzna,
panowie!”

Wzrasta popłoch wśród gości. Ma-
man i Gizela przerwały pikietę. Ne-
dostal szybko nakłada czapkę z
bączkiem. Malwina i Melania pod-
biegają do przybywających. Niem-
owa staje na werandzie ogłupiała.

SENATOR (do prezesa): Masz ba-
bo redutę! Zaczyna się.

GAUDENTY: No i oczywiście
pr-wodny Bochenek.

NIEKTÓRZY GOŚCIE W OGRO-
DZIE: Niech żyje ojczyzna! Wiwat
Bochenek!

Pan Bochenek niski, jowialny
bon-homme, z bokobrodami à la
Louis — Pholippe kroczy z akademi-
kami wprost ku stolikom, gdzie
senator i prezes. Jest rozpromienio-
ny, kapeluszem naokół wywija, w
lewej ręce plik gazet dzierży...
Okrzyki.

BOCHENEK (w przechodzie do
stolików): Tak... Bochenek... i wita
was rodacy ze szczęśliwym nowi-
nami.

Akademicy bezceremonialnie usu-
wają gości przy stoliku senatora,
podają krzesło Bochenkowi, który
wchodzi na krzesło.

PREZES (oburzony): Cóż to zno-
wu za maniery?

SENATOR: Może na stół? Szkan-
da!

Bochenek wchodzi na stół, okrzy-
ki, oklaski.

MALWINA (do Melanii): Leć na
polanę! Dawaj znać naszym! Niech
Gwardia przybywa.

Nedostal szybko naciąga rękaw-
iczki, staje w urzędowej postawie,
poważny. Melania odbiega w głąb.
Wszyscy już wstali od stolików.
Czekają.

BOCHENEK (wymachując plikiem
gazet): Ziomkowie! (głośnie), Ro-
daczy! (głośnie) Obywatele królew-
skiego miasta Krakowa. Radosna
wieść przychodzi mi podzielić się
z wami.

PREZES (do Bochenka złośliwie):
Byle ino prawdziwą okazała się.

BOCHENEK (machnąwszy rękę,
gorąco): Krakowianie! Sławetni
krakowianie!

Słuchajcie. Arcykanclerz Metter-
nich padł!

Ołbrzymie wrażenie u wszystkich.
Okrzyki. Oklaski.

NIEDOSTAL (machając czapką z
bączkiem, radośnie): Vibornie!

BOCHENEK: Najgrubszy filar
absolutyzmu, despoty! obrońca. Je-
go Cesarskiej mości doradca naj-
gorszy, a przyjaciel fałszywy...
(Okrzyki) Padł! poszedł do dymisji!

Oklaski. Okrzyki: Pereat!

BOCHENEK: W Wiedniu bary-
kadę! Ludność stołecznego miasta
przyszła do głosu! Jego Cesarską
Mość wyjechał do Salzburga.

OKRZYKI: Niech żyje Wiedeń!

MALWINA (rozpromieniona):
Niech żyje ojczyzna!
Wszyscy podnoszą kapelusze, wie-
wają chustkami.

Powtarzają:

Niech żyje Wiedeń! Niech żyje
ojczyzna!

BOCHENEK: Jeszcze mało! Jesz-
cze mało krakowianie! Król Sar-
dynii i Sycylii wypędzony. Madzia-
r! powstał. W bratniej Pradze re-
wolucja.

NEDOSTAL: Na zdar Polska!
Niech żyje! Sława!

Wszyscy wiewają kapelusami ku
Nedostalowi.

BOCHENEK: Niech żyją Cześć!

GAUDENTY (półgłosem): No nie
wszyscy, nie wszyscy!

BOCHENEK: Rodacy! Krakowia-
nie! To jeszcze mało! Patentem ce-
sarskim cenzura skonfiskowana!

Okrzyki. Śmiechy.

BOCHENEK (głośnie): Wolność
prasie nadana! Sądów jawność pro-
klamowana! Amnestia! Konstytucja!
(ueso!) Iluminacja!

OKRZYKI W GŁĘBI OGRODU:
Wiwat Ferdynand!

PREZES (śmiało): Niech żyje mo-
narcha rodacy!

DOKOŁA OKRZYKI: Niech ży-
je!

SENATOR (próbował załtonować)
„Boże wspieraj! Boże ochroń!”...

BOCHENEK (gromkim głosem):
Ale to jeszcze mało ziomkowie!
(z okrzykiem) Berlin w ogniu! Ber-
lin powstał... Generała Mierostaw-
skiego zrewoltowany naród berliń-
ski z więzienia Moabit wyprowa-
dziwszy, do stolicy z tryumfem pod
pałac królewski na barkach tłum-
ców zaniósł. Germania liberata!

Szał radości ogarnia wszystkich.
C. i owi padają sobie w objęcia.
Halasy! Krzyki. Włwały!

BOCHENEK: Despotyzm pada,
rodacy! Jutrzenka wolności naro-
dów zabłysła. Wolność idzie! Pol-
ska idzie!

Frenetyczne brawa, krzyki. Panie
tu i ówdzie zapłakały.

Adolf Nowaczyński

Czy jesteś już członkiem
Klubu Literackiego
„ODRODZENIA“?

STANISŁAW SZENIC

Nieznane polskie miedzioryty kostiumowe



Włoszanie

Nam, żyjącym w czasach fotografii, telewizji, do szczytu doskonałości doprowadzonego reportażu, pism ilustrowanych, trafiających do najbardziej w ukryciu leżących osiedli i chat — trudno pojąć odroczenia ludzi z czasów niezbyt jeszcze odległych, gdy wydarzeniem szeroko omawianym była podróż do sąsiedniego województwa, a podróżnik, który odbył wojaz po obcym kraju, opowiadał do końca życia w długie wieczory o ludzich spotykanych za granicami ojczyzny. O zainteresowaniu bliźnimi i ich wyglądem świadczą liczne albumy kostiumowe, nierzadko rytych w bitych szychachryz, żeby tylko wymienić Jostę Ammana, który współpracował przy „Trachtenbuch”, wydany przez Weigla, praskiego Wacława Hollara i wreszcie naszego Potra Norblina, który na początku XIX wieku, po trzydziestoletnim pobycie w Polsce, opracował we Francji do dziś poszukiwany, obszerny cykl kostiumowy typów polskich.

Na przykład sto lat przed Norblinem — bo w 1698 r. — ukazało się „Regensburgeri u Ch. Weigla dzieło pt. „Blaetter in Abbildungen der Gemein Nuetzlichen Haupt Staender”, zawierające 72 miedzioryty rycy Caspara Luykena. Wśród nich pięć bardzo ciekawych na tematy polskie. Miedziorytnik Caspar Luyken, albo Luyken, urodził się w Amsterdamie w grudniu 1672 r. Był synem Jana Luykena, również miedziorytnika i śpiewaczki Marii de Oude. Mieszkał i pracował w Amsterdamie z wyjątkiem okresu od 1698 do 1705 r., gdy w Norymberdze współpracował z Christopphem Weiglem. Bodaj w 1703 r. przebywał w Wiedniu. W 1705 r. wrócił do Amsterdamu, gdzie 17 listopada poślubił Marię Elżbietę van Aken. Umarł 4 listopada 1708. Pozostawił jednego syna. Znamy 1187 miedziorytów jego rylca, przeważnie treści religijnej, mitologicznej i historycznej, oraz 36 wykonanych wspólnie z ojcem Janem Luykenem. Niewiele zatem można o Casparze powiedzieć. Ciekawiej zapisał się w pamięci potomnych jego ojciec Jan, również miedziorytnik i rysownik, urodzony w Amsterdamie dnia 16 kwietnia 1649 r. jako syn nauczyciela Caspara. Był uczniem malarza Martinusa Saeghmolena. Znamy jest tylko jeden obraz jego pędzla, który kiedyś znajdował się w ga-

lerii burmistrza Sisek, a obecnie jest w Amsterdamie. Jan Luyken pozostawił natomiast prócz przeszło 1000 rysunków oraz 36 szychów, wykonanych wspólnie z synem Casparem, aż 3275 szychów treści religijnej, mitologicznej i przede wszystkim ilustracji książkowych. To, że się o nich nie wie poza granicami Holandii, jest niesłuszne, gdyż są wspaniale rysowane i zadziwiająco mnogością pomysłów. W samej Holandii pasjonują liczne rzesze zbieraczy. Tenże Jan Luyken opublikował w 1671 r. zbiór pieśni miłosnych: „Duytse Lier”. Krótko potem, bo już w 1673 r., Luyken staje się zagorzałym pietystą i wyznawcą mistycznych teorii Jakuba Boehme i Antoinette Bourignon. Publikuje liczne traktaty i książeczki o cnotach, miłości Bożej i innych tematach religijnych. Swoją zbiór pieśni miłosnych „Duytse Lier” uważa teraz za grzech młodości, wykupuje go więc i niszczy. Okazuje się jednak, że wykupił i zniszczył więcej egzemplarzy, niż wydał. Jakis sprytny drukarz w tajemnicy przed nim, widząc w nim pewnego i stałego odbiorcę, wydał nowy nakład tych pieśni, których pojedyncze egzemplarze sprzedawał fanatycznemu pokutnikowi grzechu młodości. Oczywiście, że Jan Luyken zaprzestał bezowocnego wykupywania swych pieśni miłosnych. Zaprzagnął swoje zasady wprowadzić w czyn. W 1699 r. rozdał cały swój dobytek biednym i wraz ze starą służącą opuścił Amsterdam. Niebawem bieda zmusiła go znowu do pracy. Swojemu synowi Casparowi jako jedynemu spadkobiercy pozostawił ilustrowaną książkę z naukami moralnymi.

Rysunki Caspara znajdują się w Albertynie w Wiedniu i w Muzeum Teyler w Haarlemie. Napisał o nim i wylczył szczegółowo jego prace F. van Eeghen w dwutomowym dziele „Het Werk van Jan en Caspar Luyken”, wydanym w Amsterdamie u Fr. Mullera i Co w 1904 r. Dla nas jest dziś ciekawe, jakimi oczami widzieli nas siedemnastowieczni kupcy holenderscy utrzymujący przecież żywy handel z ryciną Polską. Szychy, rytowane z pewnym rozmachem i utrzymane w żywych, stonowanych barwach barokowych, przedstawiają: 1) chłop polskiego, na którego twarz widać znój ciężkiej pracy i którego rrsy są w typie słowiańskim, jaki

Holendrzy mogli zapewne często spotykać wśród rzeszy flisaków w Gdańsku. Ale chłop polski na pewno nie nosił u boku broni, ani nie mieszkał w tak pięknej chacie, jaką widać w głębi po lewej stronie ryciny;

2) Żyda polskiego na tle konturow otoczonego murami i zwartego miasta, nie przypominającego w niczym rozległych miasteczek polskich. Typ Żyda też jest z całą pewnością wzorowany na bogatym Żydzie holenderskim i przypomina raczej o stolarzu niż późniejszą akwafortę Pionńskiego, przedstawiającą Żyda z Amsterdamu;

3) polskiego hajduka, może najbardziej zbliżonego do typu służby królewskiej ukraińskiej, lecz na tle

wspaniałej rezydencji przypominającej raczej francuski pałac niż rozległy magnacki dwór polski;

4) szlachcica w rzekomo polskim stroju na tle fantastycznych pagórków, który ani w teatralnym ubiorze, ani w typie nie ma w sobie nic polskiego;

5) górala, przedstawionego jako rzeźbionika-atletę o rzucającej się w oczy grze mięśni; rysunek ten jest zaopatrzony w dziwny napis „jeden z robótników gór karpaccich, których nazywają koralami(!)”. Ze szychów Caspara Luykena można wnosić, że tak dla Holendrów jak i południowych Niemców byliśmy pod koniec XVII wieku krajem mało znanym i nieco fantastycznym.

Stanisław Szenic



Góral

M L I - M L I

(Dokończenie ze strony czwartej)

— Szeffel! — wrócił się gwałtownie. — Chciałem krzyczeć i nie mogłem. Chciałem lecieć i też nie mogłem! Zdawało mi się, że sam z szeregu wypchną.

Potem była przerwa i myślałem, że ta cała egzekucja na strachu się rozjeżdża, bo ci z szarotkami na czapkach, podobno Austriacy, odmówili strzelania. Ale to był tylko targ. Poszli do kancelarii i po kwadransie wyszli. Musieli wypić, bo im automaty chodziły w rękach jak chłapy. To już nie była egzekucja, tylko jatka.

Nigdy nie myślałem, że taki chłop jak piaskarz będzie miał. Wylączył się, zabili i tak. Szli od słupka do słupka i strzelali. Temu raz, tamtemu pięć — jak pociśną!

Buchalter dostał w brzuch i w kark. Męczył się, rzygał burakami. Mały był ostatni. Nie krzyknął ani słowem. Policzek mu się skłzył, popłakiwał sobie, ale jak się w moją stronę wrócił, zamrugł tylko oczami i znowu się usmiechnął na znak, że to znów nie takie straszne. Niemiec strzelił do niego, potem odwrócił się i przystanął, przyglądając się jak buchaltera zgina w kabinę, jak mu nosem barszcz sika.

Wtedy mały, który już wisiał na słupku, wyprostował się i choć był postrzelany, bo widziałem, że mu tu po piersi krew ciekła, kopnął w tyłek Niemca.

— Dobiję go! Nie widzisz, że się męczy, ty głbie! — krzyknął jeszcze.

Niemiec zachwiał się, zawrócił z miejsca i wypruł mu całą serię ze świętego magazynka. Potem jednym dostrzelił buchaltera.

Musieli być wściekli, bo chłopakowi przerabano rękę, zostawiła uwieczna do haka, a ciało poieczało na ziemię.

Jan wyobrażał sobie tę dłoń w słońcu, jak fragment szraskanej rzeźby św. Sebastiana, zwróconą błagalnym gestem ku niebu. Widzi nieledwie zdeptaną łaskę, przez którą sunęli tamci za życia już nieżywi, a on Mścielci potrafił ją potraktować jak scenę dla swego szaleńczego popisu.

— Potem zrobiło się cicho, bo Żydzi się zalegli i przestali śpiewać, tak cicho, aż słyszałem jak tęgały biją w miejsce siódma.

Milczeli. Nad nimi przetoczył się turkocząc głośno próżny wóz. Lekki powiew dmuchnął pyłem ceglany, zapachem nieczyszczonego konia, dziegciu kapiącego z piasty strużkami sieczki, złotymi od słońca. I znow na odmianę z głosami dasającą się rzezi nadbiegła z dołu woń wilgotna i trochę nieczysta, jak bliskie tchnienie ziewającego psa.

— Może, szefie, powinienem był go prosić, żeby nie szedł? — wyszeptał Murawa opuszczając głowę.

Jan patrzył na niego z namysłem. Cóż chłop jest winien? Tyle co każdy z nas. Wzdrygnął się pełen gniewu i rozpacz. Myślał: wypędzono całe pokolenie w matnię, z której, jeśli

nie chciałeś przyznać się do kłeski, wyjście było jedno — piękny gest, czoło nieugięte, z jakim witało zagładę. Łatwiej było umierać... Cena, ceną, którą płacono z pogardą.

Gdybym go teraz uderzył po odkrytym karku, na pewno przyjałby ten cios jak wyzwolenie. On chce, bym go ukarał. Lubi się, że to go oswobodzi. Kara ma mu określić winę, której odsłaniający się ogrom dopiero dziś go przeraża. Przecież to nie jest wychowawca. On tylko powtarzał rozkazy.

Murawa odwrócił niechętnie głowę. Nie patrzył już sobie w oczy. Jan zrozumiał, jeżeli ma jeszcze mu pomóc — to natychmiast.

— No cóż? Nie będziemy tak siedzieć... zaczął Murawa na pozór niebale. — Pożegnamy się, nie? No, to cześć!

— Słuchaj! — przytrzymał go Jan, siadając. — Nie jesteś winien! Toś nie ty go popchnął!

— Jak nie ja to kto? — głos Murawy zabarwił się nadzieją.

— To, co w nim tkwiło u dna — pycha. Rozumiesz, on musiał się popisać! Zresztą, czy to on jeden? Zapłacił za te krótką chwilę, która przysłoniła jego dawne słabości. Ma to, czego chciał. Takim, jak pragnął się widzieć, ty do końca musisz go pamiętać.

Murawa poderwał się gwałtownie. Potrącona butelka potoczyła się już po stołu, podskakiwała na kębach traw. Złapał ją zderzając się głowami. Twarz Murawy pojaśniała, z ustami rozchyłonymi w bezgłośnym śmiechu, wyglądał prawie tępo.

— No szefie, to teraz trzeba by.

— Nie będziesz pi!

— Nie będę! — powtórzył postuśnie, stanął chwilę, ale zaraz objął mocno Jana i niezgrabnie wtoczył mu flaszkę do kieszeni. — Niech pan bierze, jak Boga kocham, ja ze sercem!

Gdy szli już na most, a Murawa opowiadał o swoim warsztacie, Jan pomyślał: dobrze, że byłem ostrożny. Nie można mu zostawić żadnych wątpliwości, po co ma wiedzieć, że ani pycha, ani odwaga, wszystkiego nie tłumaczy... Szalone pokolenie, rozrzucone i wspaniałe. Przypomniał sobie te dziewczęta oddające się pospiesznie i mówiące, że znają miłość; tych chłopców, co otarli się o śmierć i twierdzą, że znają życie...

— Cholerne pokolenie, westchnął jeszcze z podziwem — wszyscy się pchali, żeby wejść do historii... I masz — zrobili historię.

Uciekał na Śląsk, na nową ziemię. Powracał z ulgą do pracy. Już tęsknił do rajzretu pod dzwonem kreslańskiej lampy. Pracować, pracować. I tak, mimo ujawnienia, pamięć tych wszystkich ludzi i ich spraw będzie się w nim jeszcze nieraz burzyła ale już czuł, że każdy przepracowany dzień wznosi mur między nim a przeszłością.

Wojciech Zukrowski

Kronika zagraniczna

Poezja angielska

W latach wojny zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i na kontynencie — dało się zaobserwować wzmożone zainteresowanie dla utworów poetyckich i podobnie jak po pierwszej wojnie światowej impresje przeżyły wojennych wyrazili nasamprzód poeci.

W dwudziestolecie międzywojennym najwybitniejsze miejsce w poezji angielskiej zajął T. S. Eliot. Dla pokolenia starszego nazwisko Eliota kojarzy się z poematem „The Waste Land”, który do poezji angielskiej wniósł tchnienie ponurych poetów metafizycznych, dramaturgów XVII wieku, a nade wszystko nastroj rozpacz i grozy wielkiego miasta. W oczach współczesnych Eliot jest uznaną pozycją literacką, symbolem epoki raczej już przebrzmiałej, mimo że należy do jednego pokolenia z największą spośród współczesnych poetów angielskich — Miss Edith Sitwell.

Edith Sitwell rozpoczęła swoją twórczość pod silnym wpływem osobowości i poezji Charlesa Swinburne'a, — Rimbauda i Yeatsa. Ile w tym było rzeczywistego pokrewieństwa duchowego, a ile protestu przeciwko ciasności pojęć i zasadom, jakie wpajano w nią od dzieciństwa — trudno osądzić. W każdym razie nie od rzeczy będzie wspomnieć, jak to kanonik Groucher chciał wymóc na babce Edith, by zakazała wnuczce czytać poezję Swinburne'a, którego dzieła należałyby spalić na stosie. W odpowiedzi na to Miss Sitwell wybrała się w towarzystwie panny służącej (która niosła jej płaszcz, dzbanek z mlekiem i drugi z miodem) na wyspę Wight, gdzie na grobie Swinburne'a złożyła pogańskim zwyczajem obiatę z róż, liści wawrzynu, mleka i miodu, po czym wraz z duoną wróciła do posiadłości zrozpaczonej tym wybrykiem babki.

Urzeczoną imperatywem Rimbauda głoszącego, le dèrèglement raisonné de tous les sens — E. Sitwell szuka dla opisywanych przez siebie zjawisk wyrażen, które zwykliśmy kojarzyć z odmienną kategorią doznań; lubuje się w określaniu terminami dźwiękowymi barw, a smakowymi — kolorów. Ale utwory z tego okresu jej życia — „Facades”, „Bucolic Comedies”, „The Sleeping Beauty” — to tylko eksperymenty, igraszka, a może zaprawa techniczna do jej późniejszej twórczości. W r. 1928 Miss Sitwell ogłasza poemat „Gold Coast Customs”, który jest punktem zwrotnym w jej karierze pisarskiej. Miss Sitwell użyła całej swojej techniki, całego kunsztu bizarrerie dla wyrażenia najgłębiej przemysłowych, dojrzałych już treści. Poemat „Gold Coast Customs” jest wziętą orszaką żalobnego w miasteczku Gold Coast, które jest panoramą naszej cywilizacji z jej bezzwzględnością i okrucieństwem.

Uczucie grozy, emanujące z utworu Miss Sitwell ma swoje bezpośrednie źródło w nędzy ludzkiej, przed którą są zamknięte bramy domów i serc ludzkich:

„Yet the time will come
To the hearts dark slum
When the rich man's gold and the
riche man's wheat
Will grow in the street, that the
starved may eat”.

Po wydaniu „Gold Coast Customs” Miss Sitwell zaprzestała na czas dłuższy pisanie poezji.

W r. 1939 ogłasza „I Live Under a Black Sun” — zyciorys Jonathana Swiffa. W utworze ten, wdołała całe przerażenie, pogardę i strach, jakim napętniała jej świat, zmierzający do nieuniknionej katastrofy.

Z trojga rodzeństwa Sitwell szczególnie Edith uchodziła za pisarkę oderwaną od współczesnych zagadnień, estetyzującą i niejako pozaczasową.

Ostatnie utwory Miss Sitwell są niezależnie od swojej wielkiej wartości artystycznej — najdoskonalszym wyrazem twórczości wojennej w Wielkiej Brytanii. Edith Sitwell zamknęła w nich więcej niż swoje własne doznania: ukazała grozę ubóstwa, głód, ignorancję, brak współczucia i rozdarcie socjalne.

W r. 1946 Miss Sitwell napisała „The Shadow of Cain”. Jest to poemat o grzechu pierworodnym, który stawia ją w rzędzie największych pisarzy religijnych XVII

wieku (w Anglii). Wielu współczesnych krytyków angielskich miedzy nimi William Plomer i Artur Waley, uważają go za najważniejszą pozycję literacką ostatnich lat w Wielkiej Brytanii.

Symbolika, którą się Miss Sitwell posługuje jest chrześcijańska, jakkolwiek Miss Sitwell zdaje się nie wyznawać żadnej określonej religii, a zdaniem Henry Reeda jest „pogańska”, która zasymilowała inne jeszcze poglądy na życie. Jest to zjawisko bardzo częste i symptomatyczne w świecie anglosaskim, że zaurzynał terminologię i tradycję chrześcijańską w wypadkach, gdzie o konkretnej religii nie może być mowy.

Z dawniejszych poetów należy wymienić oprócz T. S. Eliota, Siegfrieda Sassona, Edmunda Blundena i Waltera de la Mare. Interesującą pozycję stanowi Edwin Mur roden ze Szkocji, którego poezja przypomina Kafkę.

Przed wojną wśród poetów Wielkiej Brytanii można było wyróżnić pewne grupy światopoglądowe: Auden, Spender, Day Lewis i Mac Neice stanowili lewicę, która podczas wojny cywilnej w Hiszpanii opowiedziała się wyraźnie po stronie Hiszpanii ludowej. Roy Campbell, poeta katolicki, pochodzący z Unii Południowo - Afrykańskiej reprezentował prawicę. Wojna dziwnie stawiła różnicę między nimi; Auden wyemigrował i przyjął obywatelstwo amerykańskie, a inni, zarówno ci z lewa, jak i z prawa, przestali interesować się polityką.

Podczas wojny kilku poetów jeszcze w okopach zaczęło wydawać swoje poezje w magazynach drukowanych na froncie. Wśród żyjących najwybitniejsze miejsce zajmują Dylan Thomas, Alun Lewis i Sidney Keyes zginęli na froncie. Śmierć Sidneya Keyes, podobnie jak u nas śmierć Krzysztofa Baczyńskiego, jest wielką stratą dla poezji angielskiej, gdyż mimo młodego wieku — poległ mając dwadzieścia dwa lata — wiersze jego wykazują wielką dojrzałość i technikę pisarską.

O ile poezja Owena i Sassona po pierwszej wojnie światowej wyrażała rozczarowanie, niesmak, protest przeciwko wojnie w ogóle, poezja współczesnej generacji wojennej jest wyrazem najgłębszego przeświadczenia, że miniona wojna była walką o sprawę, za którą warto poświęcić życie. Ale nie należy zapominać, że gdy w latach 1914 — 18 zginęło niemal jedno pokolenie młodzieży Wielkiej Brytanii, w drugiej wojnie światowej cyfra poległych na froncie Anglików wynosi 300 000. Może więc pesymizm, tak widoczny w poezji angielskiej po pierwszej wojnie światowej, był po prostu reakcją biologiczną. Mimo, a może właśnie z powodu tak dodatniego bilansu strat podczas drugiej wojny nikt z młodych poetów — Frazer, Allan Rook, Paul Rotts, Curren, Fuller, Manifold — nie zapowiada talentu równego Owenowi czy Sassonowi.

Jadwiga Żylińska

W poprzednim 10 (171) numerze „Odrodzenia” z dnia 7 marca 1948 r.: Jan Parandowski: Wspomnienie o Jerzym Kowalskim. — Grigorij Aleksandrow: Pamięci Sergiusza Eisensteina. — Pisarze na front. — Józef Słowinski: Maria Dąbrowska mówi o „Nocach i dniach”. — Stanisław Jerzy Lec: Petycja. Mosty. Z. — Roger Garaudy (przełożyła Maria Stulginska): Budowniczości i fałszywi prorocy. — Jerzy Zawieyski: Liryczna opowieść o Warszawie. — Tadeusz Breza: Premierzy warszawskie: Koń zaczął. — Ksawery Pruszyński: Znaczkownicy. — Jerzy Borejsza: Na rogatkach kultury: Dubeltowe dusze? — Bogusław Kuczyński: „Pijąc wino z Rzymianami”. — Wystawa sztuki ludowej w Krakowie. — Jerzy Andrzejewski: Kartki z dziennika lektury. „Ozimina”. Berenta. — hd: Ossolineum żyje. — Zygmunt Mycielski: Notatnik muzyczny: Na linii Amsterdam — Warszawa. — Kąpek członków Klubu „Odrodzenia”. — Jan Rojewski: Chéri Brandys. — mc: Chopin w Belwedrze. — Korespondencja (Wacław Borowy). — Wystawa plastyki jugosłowiańskiej w Moskwie. — Camera obscura. — 15 ilustracji, 8 stron.

Od Administracji

Mimo podniesienia ceny poszczególnego numeru do zł 25, prenumerata miesięczna „Odrodzenia” wynosi — jak dotychczas — 80 zł

Sensacyjne dokumenty
Radzieckiego Biura Informacyjnego

O FAŁSZERZACH HISTORII

Stron 80 30 ilustracji dokumentarnych Cena zł 60.—

Do nabycia w księgarniach i kioskach od 7 marca r. b. Zamówien a zbiorowe dokonywane u kolekcjonistów zgłoszeń Warszawa, Królewska 2 P. b. O. 1-8000

WYDAWNICTWO „PRASA WOJSKOWA” K 17-1



Szlachcic

LAUREAT KONKURSU OLIMPIJSKIEGO



Jarosław Iwaszkiewicz, znakomity poeta i beletrysta, zeszłoroczny laureat „Odrodzenia”, otrzymał od polskiego komitetu olimpijskiego pierwszą nagrodę w sumie 150 tysięcy złotych za cykl wierszy pt. „Ody Olimpijskie”.

Zosia Samosia

Zosia, zwana „Samosią”, jest małą dziewczynką, która wszystko chce robić sama. Ubierać się, rozbiierać, myć i czesać. Cokolwiek też zobaczy z czynności starszych, pragnie i ona zrobić na swój sposób. Wyrwa ojcu zegarek z ręki, żeby go nakręcić, matce szczotkę do zamiatania. Na prośbę tłumacza Zosi, że zepsuje zegarek i przewróci się na szczołce, Zosia upiera się, zaciska piastki, dopóki nie postawi na swoim. Starsi pocieszają się nadzieją, że Zosia z czasem, kiedy podrośnie i zmądrzeje, przestanie być „Samosią”. Tymczasem uważają pilnie, żeby ograniczyć jak najbardziej swobodę działania Zosi-Samosi. Wychowują ją cierpliwymi słowami i wszystkim,

przykład butów, polegało na tym, że wszyscy szją buty. Już referent kulturalny kwaszarni kapusty upowszechnia pod kątem kapusty, już referent tuszczarni grochu — od strony grochu.

Zosia-Samosia szaleje po ziemiach Rzeczypospolitej, upowszechniając na lewo i na prawo kulturalny groch z kapustą.

Wyobraźmy sobie na chwilę konkretną świetlicę w prowincjonalnym miście fabrycznym. — Do nauczyciela, zmęczonego całodzienną pracą, a prowadzącego jeszcze wieczorami świetlicę, wpadają jednocześnie referenci kulturalni następujących instytucji: miejscowej fabryki; wózków „Kon-Kon”, Spółdzielni „Spo-



rys. Jerzy Zaruba

co mogłaby zepsuć w nienasyconej pasji samodzielnego działania, zamknięte jest na klucz.

Nadzieja starszych, że Zosia, gdy podrośnie, przestanie być „Samosią”, spełnia się jednak tylko wtedy, o ile wychowują ją w duchu wielkomięskim, gdzie specjalności poszczególne ludzi są bardzo zróżnicowane i każdy robi tylko to, czego się dobrze wyuczył. Jeździ Zosia rosnie na prowincji i widzi, jak konował stawał ludzimi banki i pijawki, jak szewc nie tylko szycie buty, lecz także ubrania, czasem nawet pokryje dach i zaskli okna, kłócąc się przy tym, że on to wszystko robi najlepiej, to Zosia zostanie już „Samosią” do końca życia.

Wyrastaliśmy przed wojną w zachodniej prowincji, w tradycjach zaciągania i „szlachetka na zagrodzie...” — Dzisiaj, kiedy przez kraj przechodzi sprawa w narodowej skali, kiedy rozwijający się przemysł, reformy społeczne i specjalizacja zawodowa niosą ze sobą to wszystko, co nazywamy postępem, napotykały w jednej jeszcze dziedzinie życia infantylny upor Zosi-Samosi, która, wyparta zewsząd, dopadła w ostatniej nadziei: odcinka kulturalno-oświatowego, żeby tutaj wyżyć swoje dziecinno - prowincjonalno - szlacheckie instynkty samosioś.

Wydawałoby się, że czynnik do tego podobnie postąpią podobnie jak rozumni rodzice i znając Zosię-Samosię, zamkną przed nią czym prędzej dostęp do szaf, do zegarków, słowem ograniczą do minimum pole jej działania. Niestety, stało się inaczej. Zosia-Samosia doczekała się nawet nominacji na referenta kulturalno-oświatowego i dopadła pięknego hasła upowszechnienia kultury, żeby je zniszczyć. We wszystkich instytucjach państwowych, samorządowych, spółdzielczych powstały upowszechniające referaty oświatowo - prasowo - kulturalne, jak gdyby upowszechnianie, na

Konkurs „Odrodzenia” p. t. „Miasteczko 1947 r.”

Skład sądu konkursowego stanowią: Tadeusz Breza, Eustachy Czekalski, Stanisław Hełsztyński, Hieronim Michalski i Ewa Szelburg-Zarembina. Prace przygotowawcze do rozwiązania konkursu są w pełnym toku. Termin podamy niebawem.

W terminie przepisany m. j. dnia 31 grudnia r. ub. nadesłano do redakcji „Odrodzenia” następujące prace:

1. „Florian” — „Małe miasteczko 1947”; 2. Brug — „W rzeczywistości jest lepiej”; 3. B. Dąb — „—”; 4. Sława — „Miasteczko”; 5. Anonim — „Szarzy ludzie w naszym miasteczku”; 6. Skibniewska Polczech Emilia — „Dwukrotna śmierć Antoniego”; 7. Samotnik — „Ludzie z krak”; 8. Kazko — „Prokocimski oberek”; 9. Teel — „Miasteczko”; 10. Świątek Stanisław — „Miasteczko”; 11. Anonim — „Tepogrod”; 12. Rogulska Maria — „Złotów powrócił mi ciebie”; 13. Kowicki Karol — „Przedwiośnie wśród dymów”; 14. Zaorska Bożenna — „Spotkanie z miastem”; 15. Kwapisiewicz Stefan — „Blaski i cienie Lublina”; 16. Kolwiek — „O. S. W.”; 17. Tokarski Józef — „Miasteczko”; 18. Cierkowski Zbigniew — „Jerzy do Karola”; 19. Perkowicz Witold — „Kapitan Kobylicki”; 20. Bugaj — „Wrażenia”; 21. Jaworski Julian — „Miasteczko”; 22. Jakub — „W miasteczku”; 23. Antoni Roj — „Dzień w miasteczku”; 24. Tramp — „Legenda o dziłkam zachodzie”; 25. Wł. Tapicer — „Panna Krystyna i moje miasteczko”; 26. Rak — „Spacerem po Jeleskiej Goście”; 27. Plutyński Kazimierz — „Cień w sercu”; 28. Sęk — „Miasteczko 47”; 29. — „Rusztowania”; 30. Szwedowicz Jan — „Olszyn, miasto”; 31. Mitra Polczuk — „Noć i dzień”; 32. Plon — „Miasteczko”; 33. Samotność — „Wieniec 47”; 34. Ziębicka Irena — „Kwitający gród”; 35. Niedzica — „W walce z upiorem”; 36. Anonim — „Nawyki ratuszowego gołębia”; 37. Sowińska — „Miasteczko mych wspomnień”; 38. Cyrus — „Kazanie ks. Badury”; 39. Zetzel — „Rzeczka ucsta”; 40. Anonim — „Bielawki”; 41. Maciąg Włodzimierz — „Matków”; 42. Xerxes — „Trzy dni”; 43. — Gnarowska Ewa — „Dziwczyną z kamienia”; 44. Stefan Woldan — „Milanówek”; 45. X 21 — „Miasteczko w dolinie”; 46. Zarzycki Jerzy — „Pięć pancerni”; 47. Lawrynowicz Hanna — „—”; 48. Anonim — „Miasteczko”; 49. Pałńska Zofia — „Listy z małego miasteczka”; 50. Piąg J. — „Siłanka mała taka”;

51. Koprowski Jan — „Miasteczko na ziemi sudeckiej”; 52. Tyczynski Aleksander — „Miasteczko polskie”; 53. Żylińska Jadwiga — „Miasteczko rodzinne”; 54. Warszucki Maciej — „Spotkanie po latach”; 55. Jaskowiak Stanisław — „Pionierzy”; 56. Ad valorem — „Listy z Zachodu”; 57. Odra i Nysa — „Kryształowa waza”; 58. Jendraszyk Jan — „Lancet czy batuta”; 59. Verus St. — „Miasteczko”; 60. Salaburska Krystyna — „Piotrkowy świat”; 61. Rtam — „Miasteczko roku Pańskiego 1947”; 62. Odradza się człowiek — „Szaber czyli o miasteczku Knikowie”; 63. Rembertow — „Zemsta”; 64. Romistaw — „Z krwi i łez”; 65. Fresk — „W pobliżu konfesjonatu”; 66. Wrocław — „Wieczór artystyczny na Dolnym Śląsku”; 67. Brus — „Miasteczko”; 68. Osmecki Ryszard — „Trzy fragmenty powieści”; 69. Pogodzińska Alina — „Miasteczko”; 70. Mlynarska Henryka — „Wielkie drogi”; 71. Michał — „Miasteczko”; 72. Skiba Danuta — „O ziemi wamijsko-mazurskiej”; 73. Lovell Jerzy — „Przemienienie”; 74. Jucewicz Leszek — „Miasteczko”; 75. Kobus Janina M. — „Lęk leży na bocznym nurcie”; 76. Fofalski Sławomir — „Iskry w mroku”; 77. Świątlicki Władysław — „Lustro”; 78. Brog — „Opowiadanie babuni”; 79. „Litera W” — „Miasteczko polskie r. 1947”; 80. Sobieszek Jan — „Miasteczko 1947”; 81. „Pojezierze” — „W miasteczku nad jeziorem”; 82. „Skromny” — „Wszystkie życie”; 83. Rudnicka H. — „Miasteczko polskie roku 1947”; 84. Łączyńska Aniela — „Wysilek twórcy w Sławnie”; 85. Kieffer M. — „Gołębiarz”; 86. „Ustronie”; 87. „Złote i papierowe”; 87. Przecherko Tadeusz — „Spotkanie po roku”; 88. Palmowska St. — „Paratykularz”; 89. Pasz Józefa — „Karuzela”; 90. bis — „Miasteczko polskie

r. 1947”; 91. Kozera Olgierd — „Miasteczko polskie r. 1947”; 92. Joanna Krysińska — „Zemsta”; 93. Barski Piotr — „Straszny dom”; 94. Dobiesław — „Tu Zulu”; 95. Jeloniek N. L. E. — „I smutno i nudno”; 96. Kleszcz St. — „Wrociłem”; 97. Góra Edward — „W wielkopolskim miasteczku”; 98. Czarna Zofia — „Miasteczko polskie r. 1947”; 99. Kaśka — „Fragment powieściowy”; 100. Łuczak Lech — „Ludzie z małego miasteczka”;

101. San J. — „Antonina”; 102. Jamioł Wincenty — „Tłumacze pisma sw.”; 103. „Wiking” — „Skrzyżowanie dróg”; 104. Marysińska A. — „Wiosenne pędy”; 105. „Apel” — „Połonez Kościuszkowski”; 106. „Fars” — „Dom Płwików”; 107. „Dezet” — „Małogrodek”; 108. „Zgoda” — „Rawa Mazowiecka”; 109. Contra spem speramus — „Miasteczko”; 110. „Odra” — „Polskie miasteczko Kamień”; 111. „Dziwienność” — „Chlebocin”; 112. „Kania” — „Poprzedni dzień”; 113. Chylicka Wanda — „Kocujące dziewczyny”; 114. Gwóźdź Michał — „Obrońca”; 115. „866—93 nie odpowiada” — „Sireny gwizdają o 7-mej”; 116. Woś Stanisława — „Widziani moimi oczyma”; 117. „Paskwili na miasteczko”; 117. Rolicz Tadeusz — „Ślaskie miasteczko 1947 r.”; 118. Suchań — „Miasteczko polskie r. 1947”; 119. Chlebowski A. T. — „Miasteczko”; 120. Wiernicz Adam — „Miasteczko”; 121. „Dziwien i pół”; 122. „Irena”; 123. „Wycieczka”; 123. „Uczeń” — „Miasteczko w dniach kłeski i chwały”; 124. „Ikar” — „Obywatel Hrabia”; 125. Kowalak J. — „Miasteczko polskie roku 1947”; 126. Anonim — „Jeden dzień w rodzinnym mieście”; 127. „Tekape” — „Miasteczko polskie r. 1947”; 128. „Głodomor” — „Miasteczko polskie r. 1947”; 129. „Klin” — „W królestwie jest miasteczko”; 130. Borman Henryk — „Na wysokim dworze”; 131. Wielogórski Adam — „Miasteczko Dobrej Nadziei”; 132. Kossowska Maria — „Bunt”; 133. Profus Br. — „Miasto przebaczenia”; 134. Stefan — „Zar”; 135. Rybak Bolesław — „Miasteczko”; 136. Dolar Vera — „Miasteczko”; 137. „Znajomy z miasteczka”; 138. „List z miasteczka”; 138. Taurus I. — „Miejsce w szeregu”; 139. „Iza Irska”; 140. „Wakacje w Iksinowie”; 140. Sądziwicz Marek — „Niedopzrz”; 141. Fresk — „Proboszcz i wikary”; 142. Zet — „Miasteczko przyszłości”; 143. Rybak B. — „Pomost”; 144. Arbarska A. — „Miasteczko”; 145. Doskowski Józef — „Miasteczko wczoraj”; 146. Zdzisław — „Drek wraca do Polski”; 147. Wolski Andrzej — „Kłopoty pana Abia”; 148. Kalinowski L. — „Miasteczko”; 149. Daniewski Eugeniusz — „Pochodnie jasielskie”; 150. Axel — „Miasteczko”;

151. Pacanowska Natalia — „Bohaterskie miasteczko”; 152. Baca — „Waleriana”; 153. Joter — „Małe miasteczko”; 154. Ilona — „Ostatni dzień”; 155. Razem — „Miasteczko”; 156. Skoczyłówna Zofia — „Siłczka”; 157. Sebyla — „Pożar”; 158. Jaworski Julian — „Urzędnicze konsekwencje”; 159. Wang — „W mieście Złotego Gryfa”; 160. Oset Jan — „Opowiadanie na konkurs”; 161. Smuga Ewa — „Wesoło w Dudach Kieleckich”; 162. Wójcik Andrzej — „Zarys problemu”; 163. Frandon — „Bolażki stolicy Kociewia”; 164. Sosna — „Dom „Pod Opatrznością”; 165. Tadeusz — „Świat w skorupie”; 166. Kruk — „Światła małego miasteczka”; 167. Tesli — „Tęcze nad Odrą”; 168. Sobków — „Miasteczko”; 169. Franek — „Miasteczko”; 170. Stabrawa Kornel — „Przemówienie burmistrza”; 171. Podkowa — „Miasteczko”; 172. Oskard — „Powitanie”; 173. Lesser Ewa — „Cudze dziecko”; 174. Osniakowski Marian — „Miasteczko”; 175. Anonim — „—”; 176. Anonim — „—”; 177. Anonim — „Miasteczko”; 178. Civiś — „Podwójne oblicze Kiernoz”; 179. Aga — „Miasteczko”;

CAMERA OBSCURA
CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia” z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura”. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura” pod adresem: Redakcja „Odrodzenia”, Warszawa, Daszyńskiego 14, dział „Camera obscura”. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej: kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału — strzeżcie sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura”. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przynajmniej nagrodę w wysokości 1000 zł, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł. 1.000 otrzymał w ubiegłym tygodniu ob. Witold Wieniawski, Warszawa, Filtrów 62 m 108, za wycinek „Tribune”, January 30, 1948.

„PODREĆZNIK WIESZANIA”
(A Handbook on Hanging)A HANDBOOK
ON HANGING

Being a short introduction to the fine Art of Execution, and containing much useful information on Neck-breaking, Throttling, Strangling, Asphyxiation, Decapitation and Electrocution, as well as Data and Winkles for Hangmen, on Account of the late Mr. Berry's method of Killing and his working list of Drops, to which is added a Hangman's Ready Reckoner and certain other items of interest, including the Great Nuremberg Hangings.

by CHARLES DUFF
THIRD EDITION ENLARGED, DILIGENTLY COMPARED AND REVISED IN ACCORDANCE WITH THE MOST RECENT DEVELOPMENTS.

ALL VERY PROPER TO BE READ AND KEPT IN EVERY FAMILY

Be sure of obtaining your copy by placing an order now with your bookseller or the Publishers.
Ready February 9th 2s. (post 3d.)
FREEDOM PRESS
27, Red Lion Street, London, W.C.1

Pod tym tytułem ukazała się nakładem wydawnictwa Freedom Press w Londynie książka niejakiego Charlesa Duffa. Każdego, kto byliby przypuścić, że tytuł ten jest aluzją do sześciolletnich praktyk hitlerowskich w krajach okupowanych, wyprowadza z błędów notatka księgarska, zamieszczona w „Tribune”. Reprodukujemy ją, tłumacząc cenniejsze fragmenty:

„Podręcznik wieszania, będący krótkim wprowadzeniem do precyzyjnej sztuki przeprowadzania egzekucji i zawierający wiele pożytecznych wskazówek

duszenia, gazowania, gilotynowania, trawienia na krześle elektrycznym, jako też dane i porady dla kałów, z relacjami p. Berry o ostatnich metodach uśmiercania, uzupełnionych kompletnym sprawozdaniem kata, oraz moc przykładów w tym przedmiocie, łącznie z wielkimi egzemplarzami norymberskimi. Trzecie wydanie, powiększone, starannie opracowane i poprawione zgodnie z najwybitniejszymi i najnowszymi osiągnięciami. Pożyteczne to wydawnictwo należy przeczytać i mieć w każdej rodzinie.”

„Freedom Press” — znaczy „Prasa Niezależna”. Teraz wiemy już, że niezależność prasy anglosaskiej polega, między innymi, na wygrywaniu najniższych instynktów ludzkich. Ale dowiadujemy się nawet czegoś więcej. Trzecie wydanie tej książki, świadczy o jej wielkiej przydatności wśród anglosasów. Warto przy okazji zacytować słowa Janusza Meissnera, wybitnego znawcy timtejszych stosunków, który chwalił Anglików w „Wyspie Ostatniej Nadziei”, nie zapomina dodać: Poza rzecznymi bowiem istnieje wiele podobieństw między tymi dwiema odroślami germańskimi.”

Z DZIAŁALNOŚCI SZYMONA
WAŁJEWSKIEGO

Ludzi umiających pisać o muzyce można wliczyć na palcach jednej ręki. Aldous Huxley powiada, że poza muzyką jest już tylko milczenie. Innego zdania jest Szymon Wałjewski, prowadzący w „Expressie Wieczornym” rubrykę: „Z sali koncertowej”, „Oto jedno zdanie dla przykładu:

„Artysta wznosił się tutaj o kilka stopni wyżej w grze dzieł Chopina nad program, w którym specjalnym blaskiem wykonawczym lśniło niepoślednie, rewolucyjne preludium d-moll, a elegijnym kolorytem mazurka a-moll”.

DEKLARACJA

Zgłaszam się na członka Klubu Literackiego „Odrodzenia” i zobowiązuje się do płacenia abonamentu za książki w kwocie zł 1 800 rocznie, płatnych po 150 zł miesięcznie lub po 300 zł co drugi miesiąc lub po 900 zł półrocznie (niepotrzebne skreślić).

Moje prawa i obowiązki są mi znane.

Imię i nazwisko _____

Adres _____

(podpis) _____

Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesać pod adresem: Warszawa, Daszyńskiego 14. Klub Literacki „Odrodzenia”.

CZYTELNIK.
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
OSTATNIE NOWOŚCI

MARIA DĄBROWSKA

NOCE I DNI

T. I.

BOGUMIŁ

BARBARA

T. II.

WIECZNE
ZMARTWIENIE

Epickość „Nocy i dni” ukazująca w wymiarze powszedniej, szarej egzystencji pełnię i urok życia, w bogactwie silnie podkreślonych w powieści momentów dziejowych zmierzających strefy zmartwych na proscie XIX i XX w.

2 t.

zł 840

JÓZEF IGNACY

KRASZEWSKI

BRÜHL

Opowiadanie historyczne.

Oprac. Hahn W.

Druga część trylogii z czasów saskich przedstawia dzieje zawodowej kariery wszechwładnego ministra dreźnieńskiego dworu. Mistrzowskie odwroty, wiarę i sferokształt obrazu ówczesnych stosunków historyczno-społecznych i obyczajowych, niezwykle żywa akcja uzasadniają renesans tej powieści w dobie obecnej.

2 t.

zł 300